№ 26. Warszawa, dnia 12 (24) Czerwca 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

SZKICE I NOTATKI

Z PODRÓŻY

MARYI SZELIGI.

Wycieczka do Capri.

Jeszcze Wezuwiusz nie wychylił się z po za osłon mgły, któremi spowija się co wieczór, i ledwo póżnym je odrzuca rankiem, gdyśmy z wybrzeża Santa-Lucia popłynęły do opodal stojącego parowego statku, który dwa razy dziennie przewozi podróżników z Neapolu do Capri. Niezaćmiony błękit niebios rozświetlonych najcudniejszem południowem słońcem, wróżył nam dobrą porę dla wycieczki, lekki zaś powiew od wody, chłodził nas przyjemnie, i pozwalał nie czując upału pozostawać na pokładzie. Widok na amfiteatralnie wznoszące się miasto był prześliczny, wreszcie i najdłużej rysujące się kształty owalnego zamku zwanego Uowo (jaje) znikły nam z przed oczu, za to niebawem ukazało się cudne, fantastyczne Sorrento, zamajaczyła zdala Ischia, a niebawem, w półtorej godziny po wyjeździe, statek zatrzymał się w pobliżu imponujących skał, i mnóstwo łodzi okrążyło go, zachęcając podróżnych do zwiedzenia sławnej lazurowej groty. Wsiadłyśmy więc do jednej łódki kierowanej przez obrośniętego, z dzikiem wejrzeniem wioślarza, i mknęłyśmy szybko po falach nie ustępujących w kolorze najpiękniejszemu lapis-lazuli.

Nakoniec ujrzałyśmy w skale otwór niby pieczary, ciemny, mały, i co prawda wcale nie wabiący. Łódki wsuwały się weń jedna po drugiej i przepadały, aż pewna trwoga mię ogarnęła gdy na naszą przyszła ta kolej. Pochylone, przebyłyśmy ciasne wnijście, lecz podniósłszy głowę, mimowolny okrzyk zachwytu wydarł się z piersi. Najbardziej rozbujała i poetyczna wyobraźnia nie mogłaby wyśnić coś tak uroczego: świat rzeczywisty znikł... a rzeczywistość podobna była marzeniu... I jak tu nie marzyć i nie zachwycać się, gdy płynny błękit u stóp migocze, błękitna mgła faluje nad głową, ściany skaliste błyszczą wszystkiemi odcieniami szafiru, i mimowoli przedsionek niebios, pałace rusałek i tysiące cudów legendowych przepełniają porównaniami myśl przejętą podziwem. Gra światła mieniąca się ciągle w srebrne blaski na tle lazuru, jest nienaśladowanie piękną — napróżno najznakomitszy artysta kusiłby się pędzlem i farbą, odwzorować śliczne to zjawisko natury na płótnie. Widziałam nieraz obrazki w galeryach mające ten przedmiot, ale jakże daleki do podobieństwa z prawdą!

Łódka nasza zanurzona w wodzie, wydaje się srebrną — toż samo wiosła, a każde plusnięcie fali, rzuca dyamentowe kaskady blasków. Lica nasze, ręce z przyjemnością muskające te wody czyste, szafirowe, nabierają dziwnie idealnego kolorytu. W zagłębieniu skały w mgle błękitów widnieje jakaś tajemnicza postać... kto wie? może to Ondina, mieszkanka tej świątyni czarów piękna?.. Ah! postać się pochyla, nagle rzuca się w fale — patrzysz zdumiona... nic to! Poznajesz czarnookiego „bambino,“ który dla zarobienia kilku centimów, zabawia turystów widokiem swego kształtnego ciała, jaśniejącego w srebrzystej topieli.

Minęła chwila zachwytu i złudzeń. Wypływamy na zwykłe dzienne światło: nasz przewodnik nie szanując mojej marzycielskiej zadumy, targuje się o zapłatę, i niezadowolony z właściwej ceny, bo chciwość Neapolitańczyków jest bezgraniczną, wysadza nas mrucząc na statek. W kwandrans potem jesteśmy w Capri.

Na wstępie zostajemy literalnie oblężone przez liczną gromadę przewodników i właścicieli osłów, ofiarujących nam swe usługi. Że zaś pierwsza wędrówka przy upale nie uśmiechała się bynajmniej, wybrałyśmy dwa bure i potulne osiołki, i wsiadły na nie, w obec mnóstwa gapiów będących tu istną plagą. Cudzoziemiec jest dla tych leniwych a ciekawych i sprytnych dzieci południa, zupełnie takiem samem widowiskiem, jak dla naszego ludu Włoch z małpą, lub cygan z niedźwiedziem. Rola to w końcu niecierpliwiąca do najwyższego stopnia.

Nasze długouche pegazy, prowadzone przez dwie brunatne Caprejskie dziewczyny, poniosły nas wązką drożyną wśród skał, zkąd widok rozciągał się nieporównany. Roślinność tu wspaniała: gdzieniegdzie ogrody pełne pomarańczowych drzew, fig, oliwek — kaktusy i laury, kwiaty różnobarwne, u nas hodowane w doniczkach, tutaj zdobią wzgórza w bujnym rozroście. Błogosławiony kraj!... Rozmyślać przecież, i upajać się w milczeniu pięknem natury, stało się niepodobieństwem ze względu gadatliwości naszych ciceronek: to wołały wciąż na powolne zwierzątka „Avanti Pedrilla! avanti Stella!“ (takie bowiem nasze wierzchowce nosiły imiona) to znów, wypytywały się nas o nazwiska, rodzinę i kraj w którym zamieszkujemy. Z rozmowy z nimi wypadła nam tylko jedna korzyść: miasto i nocleg w hotelu nęciły nas jak najmniej, a jedna z przewodniczek żona rybaka, ofiarowała nam swój domek na wybrzeżu morskiem, bardzo ładny i położony w najpoetyczniejszej miejscowości. Mogłyśmy więc po powrocie z wycieczki w góry, wypoczywać na balkonie rybackiej chaty, i patrząc na zachód słońca zdającego się tonąć w morskich falach, posilać się wybornemi świeżo usmażonemi na oliwie rybami, przyrządzonemi przez uprzejmą Caterinę naszą gosposię. Wieczerza ta, na świeżem powietrzu, z widokiem morza, malowniczych skał na których w oddali rysowały się ruiny pałacu Tyberiusza, przy szumie fal i dźwięku rybackich pieśni, była jedną z najpoetyczniejszych uczt jakie pamiętam... nie pomieniałabym jej za Lukullusową biesiadę, gdyż wydała mi się ze swą prostotą

i zarazem wspaniałością prawdziwą ucztą bogów, gdzie przyroda była Olimpem, a ambrozyę i nektar potrawy i wino Caprejskie zupełnie nam zastąpiły... Długo też pozostałam śledząc zachwyconem okiem jak cichy sen nocy ogarniał naturę: gwiazdy świetne ukazały się rychło, one tylko i morze, zdały się czuwać... Towarzyszka moja, po zmęczeniu zasnęła rychło, lecz mnie, oprócz marzeń i rozkoszowania się odmiennym obecnie, ponurym obrazem wyspy, jeszcze jedno wstrzymało od poddania się nagabaniom Morfeusza: chata była na ustroniu, u drzwi naszego pokoju, nie znalazłam ani zamka, ani klamki... czarne obecnie morskie tonie, huczały tuż pod naszemi stopami... a rodzina rybacka składała się z wielu członków z fizyognomiami nie wzbudzającemi zaufania... wyznaję, że jakiś strach mię ogarnął... Dopiero świt rozproszył moje obawy — wsparłam i ja zmęczoną głowę o poduszki z morskiej trawy, i kilka godzin przespałam mocno.

Nazajutrz postanowiłam zwiedzić Anacapri, i ruiny Tyberyusza. Pierwsze, oprócz pięknej wiodącej doń drogi nic osobliwego nie posiada — lecz pnąc się dalej drożyną, dojeżdża się nakoniec do zwalisk pałacu, o którym podania historyczne przejmują dreszczem zgrozy i oburzenia. Dziś mury pokryte zwojami bluszczu i kwiecia, umajone, uśmiechnięte roślinnem chociaż życiem, robią wrażenie miłe, bo są piękne. Jest jeszcze ślad podziemnej, mozajką wykładanej galeryi, którą okrutny Cezar, schodził tajemnie na wybrzeże, i krytą łodzią wymykał się na nocną, szpiegującą lub zbrodniczą wędrówkę. Widok ztąd prześliczny, gdzie stanąć, na prawo i na lewo widać morze, i pochyło spuszczającą się ku wybrzeżu wyspę zdobną wszędzie w gaje pomarańczowe, oliwne i winograd. Krajobraz to taki uroczy, łagodny, że podziwiać można nikczemność serca, które tu zdolne było przemyślać i wykonywać zbrodnie!...

Cudna Capri, niegdyś postrach ludów, teraz zda się najmilszem miejscem dla usposobień artystycznych i marzycielskich: jestto mały cichy Eden. Przekonałam się też o ile obawy moje były płonne; mieszkańcy tutejsi, mimo min zbójeckich są poczciwi i gościnni, złodziei tu prawie nie ma, a najbezpieczniej właśnie w takiej rybackiej chacie.

Podróżniczkom polecam naszą miłą gosposię Caterinę, stoi ona zwykle ze swą burą *Stellą* i oczekuje na wybrzeżu cudzoziemców. *Stella* oddała mi też znakomite usługi, nie okazując wcale upartego charakteru tak powszechnego w jej rasie.

Gdy znów znalazłyśmy się na statku mającym nas odwieźć do Neapolu, długiem i tęsknem wejrzeniem pożegnałam miejsce, gdzie spędziłam chwilę jak piękny sen lubą, i jak sen krótką a niepowrotną... Rybackie dzieci kołysząc się na łodzi śpiewały smętną *canzonettę*... dotąd melodya ta, obraz Capri, niebo błękitne, przechowały się żywo w mej pamięci — a nieraz westchnieniem mimowolnem pożałuję minionego dnia, choćby dla tego że już należy do przeszłości, a któż nie tęskni za chwilą piękną i minioną?

A więc dalej!

A więc dalej — znów iść trzeba...
Choć bez chęci, choć bez sił,
Choć ni jednej gwiazdy z nieba
Blask, nie będzie mi już lśnił.

Iść, choć z wiedzą, że w wyżyny
Nie prowadzi droga ta,
Że ścieżki jej przez niziny,
Gdzie wciąż ciężka, szara mgła. —

Nigdy blasku, nigdy słońca,
A nawet promieni zórz...
Ach! i ciągle — tak bez końca,
Nawet — bez błyskawic — burz...

Burza — może by zabiła,
Na proch starła serce raz...
Lub piorunem zapaliła
I — wskrzesiła jeszcze głaz.

E.

Urywek z życia

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę R.

(Dalszy ciąg).

Po przywitaniu państwo Steccy zaczęli wypytywać gościa o szczegóły dopiero odbytej podróży. Opowiadał je swobodnie i wesoło, niekiedy tylko zwracając się do kuzynki, która z robótką w ręku siedziała przy stole słuchając w milczeniu opowiadania.

Julija była to ładna i świeża dzieweczka. Posiadała więcej gruntownego wykształcenia niż światowego blichtru. Średniego wzrostu blondynka, o dużych niebieskich oczach, nie miała w całej postaci nic uderzającego.

Stanisław chciwy coraz to nowych wrażeń, ledwie że spojrzał na dość pospolitą twarzyczkę Julki i jedynie przez właściwą sobie uprzejmość, był dla niej równie uprzedzającym, jak dla wszystkich, z któremi obcował. Jednakże państwo Steccy nie znając dość dobrze synowca, zwykłe jego postępowanie wzięli za wyłączną dla córki grzeczność i zaczęli marzyć jak matka Stanisława o związku jego z ich córką. I odtąd położenie dwojga młodych ludzi stało się o wiele trudniejsze. Julija zwykłą była iść zawsze ślepo za rozkazem rodziców, Stanisław nie umiał oprzeć się w niczem matce; to też mimo obojętności jaka panowała między nimi, małżeństwo przez rodziców ułożone można było uważać za rzecz pewną.

Już kilka dni młody Stecki bawił w Dąbrowie. Nic nie przerywało jednostajności codziennego życia. Stanisław był zawsze dla Julji uprzejmym, ona wypłacała mu się tą samą zdawkową monetą. Częstokroć rodzice zostawiali ich samych w pięknej biblijotece gdzie zwykle po obiedzie zasiadano. Wtedy młoda kobieta brała do ręki jednę z książek leżących na stole, a otwarłszy ją czytała głośno jaki urywek poetyczny, albo pytała kuzyna o sąd jego nad tem lub owem dziełem, czyniąc literaturę osią około której obracała się rozmowa, aż póki nie przybył kto inny, zwolnić ją ze stanowiska bawiącej gościa.

Niekiedy pani Stecka przebiegając z nimi ciernisto szpalery, przypominała sobie iż ją w domu pilne czekało zajęcie, a oddalając się prosiła by dzieci — jak się wyrażała — nie przerywały sobie dla niej przechadzki. Wówczas Stanisław patrząc na jedno z niebotycznych drzew szpaleru, przypominał sobie wycieczki jakie niedawno odbywał bawiąc pod pięknem niebem Italji. Julija pilnie słuchała, niekiedy przerywając zapytaniem o widoki lub fantastyczne urwiska, znane jej z opisów.

I tak upływał dzień za dniem, a państwo Steccy nic pomyślnego donieść matce Stanisława nie mogli: ona zaś ciągle do nich pisała zapytując o postępowanie syna, a otrzymawszy kilka nic nie znaczących listów, napisała do rodziców Julji składając winę na nieśmiałość Stanisława, który obawiając się odmownej odpowiedzi nie prosił jeszcze o rękę kuzynki. Nalegała też usilnie aby raczyli go zachęcać, gdyż byłaby niepocieszoną, widząc biednego Stasia powracającego do domu z niepewnością w sercu.

Ale list ten przyszedł do Dąbrowy właśnie po odjeździe państwa Steckich, którzy, przeświadczeni o prawdzie tych wyrazów, mniemali iż młody człowiek z żalem dom ich opuścił. Lecz cóż było czynić? chyba tylko oczekiwać spokojnie co przyszłość przyniesie i zostawić wszystko czasowi.

Tak też postąpili rodzice Julji, podczas gdy Stanisław wracał do matki, nie myśląc nawet o młodej kuzynce. I gdy zmęczony podróżą, chciwy odpoczynku młodzieniec, stanął przed panią Stecką, ona przyjęła go chłodno, a ocierając oczy chustką, rzekła:

— Niespodziewałam się, że takiej doczekam od ciebie wdzięczności. Widzę teraz, iż wziąłeś sobie za zadanie niweczyć moje najmilsze marzenia. Miałam nadzieję, że wreszcie wynagrodzisz mi trudy jakie dla ciebie zawsze podejmowałam, dając mi córkę do kochania, w osobie Julji Steckiej.

— Teraz już wszystko stracone.

— O ja biedna wdowa! nieszczęśliwa matka! — tu załkała żałośnie.

Czułe serce Stanisława drgnęło, oczy spuścił ku ziemi, a sprzeczne myśli tłoczyły mu się do głowy.

— Szanować rodziców to obowiązek święty! pomyślał. A wreszcie, wieleż małżeństw skojarzyło się bez miłości — a potem, było to jakoś!

Biedna słaba roślina ugięła się pod wpływem szkodliwych wichrów, a piękny owoc szlachetności jaki wydawać zaczęła, przyczynił się do upadku.

Gdyby Stanisław podlegał innym wpływom, byłby potrafił wypełnić zawsze swój obowiązek, ale los postawił go w obec kobiety zimnej i despotycznej, a on nie umiał stawić oporu. Uległ i odrzekł stłumionym głosem:

— Niech i tak będzie jak pragniesz matko. Ożenię się z Juliją, nie mam do niej wstrętu — a twoja wola mi wystarcza. Proszę tylko o kilka tygodni czasu, nie do namysłu, gdyż to by się na nic nie przydało, lecz bym mógł odpocząć i przyzwyczaić się do tej myśli, bo nie chcę aby biedne dziewczę wiedziało iż jest dla mnie po części narzuconem jarzmem!

Gdyby pani Stecka miała w sercu choć iskierkę prawdziwej macierzyńskiej miłości słowa syna byłyby wystarczyły do zniweczenia jej planów. Lecz w tej kobiecie zaślepionej dumą, wszystkie dobre uczucia legły pogrzebane w głębi ostygłego serca.

Jan który nabył między ludźmi hartu duszy i zdrowego rozsądku, był posłuszny matce o tyle o ile rozum pozwalał; Stanisław nie umiał rozróżnić w jakich okolicznościach ulegać matce należało, a w czem kierować się własnem zdaniem. Nagle przyszła mu myśl, która go niemało pocieszyła, że Julija nie przystanie na ten związek, że jej nie narzucą swej woli. A schwyciwszy się tej nadziei, wierzył i oczekiwał cierpliwie.

Od tej chwili matka podwoiła dla syna czułość, uprzedzała jego pragnienia, starając się robić wszystko co mogło mu być przyjemnem. Widząc go raz zamyślonym, rzekła:

— Czybyś nie chciał odwiedzić twego brata mój synu?

I nie zwlekając, zaczął przygotowywać się do drogi. Wyjeżdżając oznajmił matce, iż pragnie dłuższy czas w Zagórzu zabawić, i prosił by się nie lęka-

ła gdy nie powróci tak prędko. Młody człowiek rad był każdej zwłoce, chciał zyskać jak najwięcej czasu, spodziewając się, że Julija jako bogata dziedziczka, znajdzie w trakcie tego odpowiednią partyę, co go wybawi z przykrego a narzuconego niemal położenia.

Z tą więc pocieszającą myślą wyruszył z domu, i nią zupełnie ożywiony ujrzał po raz pierwszy szczyty gór Ś-to-krzyzkich, a u stóp ich drzewa, ocieniające rozkoszną posiadłość szczęśliwego brata.

Był to piękny sierpniowy wieczór. Słońce zaczęło opuszczać się ku zachodowi, złocąc pagórki i pola. Przedłużone cienie drzew padały na doliny, a z za gór dawał się słyszyć odgłos dźwięcznej piosenki, nuconej na fujarce. Szerokim gościńcem prowadzącym prosto do Zagórza toczył się dość lekki powóz, zaprzężony dzielną czwórką kasztanowatych koni. W głębi powozu siedział młody człowiek, wpatrzony w malowniczy krajobraz, roztaczający się przed jego oczyma.

Nagle tuż koło niego, przemknął długi cień. Jadący wychylił się, i na skręcie drogi ujrzał galopującego konia, na którym siedziała piękna amazonka. Woal od kapelusza w tył odrzuciwszy zdawała się rozkoszować miłym powiewem zefiru, nim jednak młodzieniec zdołał się jej lepiej przypatrzyć, już była daleko zostawiając po za sobą tuman kurzu. Stanisław zapamiętał tylko jej kształtną postać, jaką ujrzał w przelocie na jasnem tle pogodnego nieba.

Gdy powóz zatrzymał się przed gankiem białego dworka, państwo Janowie siedzieli w swym ładnym saloniku, a usłyszawszy turkot, oboje zwrócili oczy ku otwartemu oknu.

— Mój brat! zawołał Jan porywając się z miejsca i biegnąc do drzwi.

Anusia wstała też i wolnym krokiem postąpiła za mężem, nie chcąc swą obecnością krępować obu braci.

— Anulko przyjdźże powitać naszego Stasia! Ach! wy się jeszcze nie znacie; lecz nie potrzebuję przedstawiać was wzajemnie: ty Stasiu wiesz dosyć o mojej wszechwładnej pani i tyranie, poznałeś ją z moich listów. Prawda? A i ciebie przed nią nie oszczędzałem, wiedz o tem, mówił wesoło Jan.

Anusia przyjaźnie podała bratu rękę, którą on serdecznie ucałował.

Czas upływał tak szybko, że nie spostrzegli się nawet, gdy nadeszła godzina herbaty. Usiadłszy przy suto zastawionym stole, Stanisław winszował bratu, iż znalazł w żonie nietylko wykształconą i pełną moralnych zalet kobietę, ale i dobrą gosposię.

— Widzę że okolice Zagórza obfitują w piękności — dodał spoglądając na uśmiechającą się wdzięcznie bratową, gdyż właśnie dojeżdżając do szpaleru, ujrzałem prawdziwie zachwycające zjawisko!

— Cóż to takiego? zapytali jednocześnie państwo Janowie.

— Śliczna amazonka! odparł Stanisław — czy się nie domyślasz, kto ona?

Lecz zanim zdołano dać mu odpowiedź, drzwi się otwarły i weszła Zofija, a skłoniwszy się bez najmniejszego zakłopotania, usiadła przy stole.

Młody człowiek zadziwiony niepomału tą żywą odpowiedzią, spojrzał pytająco na Jana.

— Mój brat—rzekł tenże do Zofji.

— Moja siostra — dodała szybko pani Anna widząc zadziwienie młodzieńca.

— Ach to panią spotkałem? zapytał Stanisław.

— Tak jest — odparła Zofija — zaraz się domyśliłam, iż to pan przybywa do Zagórza, gdyż tu oczekiwano go z upragnieniem.

Wejście Zofji wcale nie skrępowało rozmowy, owszem, nadało jej więcej życia i zajęcia. Po herbacie proszono Zofji by zaśpiewała. Młoda panienka poszła do fortepianu a usiadłszy wezwała siostrę do pomocy.

Zaczęły śpiewać jedną z tych pięknych aryi włoskich, która bogactwem tonów i rzewnością melodyi trafia wprost do serca słuchaczów.

Stanisław siedział nie poruszając się, a gdy skończyły rzekł wzruszony:

— Czy bym śmiał prosić o więcej?

— Zosia zaśpiewa nam sama, odparła Anusia.

— O koniecznie! — ozwał się Jan, proszę cię siostrzyczko.

Na to wezwanie Zofija uderzyła parę akordów i znów rozbrzmiała smętna melodya, śpiewana dźwięcznym głosem. Młody człowiek wsparł głowę na dłoni i zamyślił się: snadź myśli te nie były wesołe, bo łza zakręciła się w jego oku. Dopiero gdy pieśń ustała podniósł głowę i rzekł ścicha:

— Słyszałem wiele osób śpiewających, ale tak wzniosłego uczucia bardzo rzadko spotkać można.

— Wszak i ty śpiewasz? rzekł Jan do brata.

— Tak jest — odparł zapytany, uczyłem się nawet teraz, będąc w Neapolu.

— Kiedy tak, podchwyciła Anna, to i pan musi nam się dać słyszyć!

— Może się tu co znajdzie, coby ułatwiło wybór? rzekła Zofija wskazując na stosy nut leżących na półkach.

Młody człowiek zbliżył się, przerzucił kilka kajetów, a wybrawszy jeden, położył na fortepianie. Był to piękny duet Verdi'ego.

— Czy pani raczy mi towarzyszyć? zapytał Zofji.

— O jak najchętniej—rzekła bez wahania, a przegrawszy pierwszą część, zaczęła śpiewać.

Stanisław połączył się z nią, a miał głos silny i wyrobiony.

Pierwsza próba powiodła się jak najlepiej i wywołała pochwały państwa Steckich, którzy słuchając ich śpiewu, spoglądali na siebie znacząco.

Godziny mijały niepostrzeżenie, aż przyszła chwila udania się na spoczynek, co też uczyniono obiecując sobie wiele przyjemności na jutro a w ogóle na cały czas pobytu Stanisława w Zagórzu.

— Jak ci się nasza siostrzyczka podoba? zapytał Jan, odprowadzając brata do przeznaczonego dlań pokoju.

— Wszystko co bym powiedział będzie niedostatecznem na jej pochwałę! odparł zapytany. Jan pospieszył niezwłocznie donieść żonie, co od brata usłyszał.

— A kto wie — rzekła Anusia.

— Daj mu Boże cieszyć się w życiu takiem szczęściem jakie ja posiadam — dodał Jan całując rękę żony.

Nazajutrz do śniadania wszyscy przybyli w jaknajweselszem usposobieniu, a powitawszy się zasiedli do stołu.

— Cóż dziś robić będziemy? zapytał Jan — wymyśl-że co Anulko, twoja główka zawsze tak bogata w dobre pomysły!

— Już nad tem myślałam—odrzekła zagadnięta. Dziś jeszcze pan Stanisław zmęczonym być musi swą długą podróżą, więc tylko nad wieczorem zrobimy konną przejażdżkę. Lecz jeśli państwo zechcecie, to za kilka dni przyprowadzimy do wykonania zamiar, jaki dziś ułożyłam.

— Mów prędzej Anusiu! zawołali jednocześnie Jan i Zofija.

— Oto zamyślam urządzić wycieczkę w góry; a zwłaszcza na tę naszą która ma nazwę: „Łysej góry."

— Wyborna myśl — rzekł Jan — a może też w naszej podróży spotkamy choć jedną z tych sławnych czarownic, dodał żartobliwie.

— Czy podanie o czarownicach jest prawdziwem tego nie wiem; lecz przekonany jestem iż nie trzeba wchodzić na szczyt Łysej góry, by widzieć czarodziejki, które wprawdzie nie często, lecz niekiedy spotkać można. To mówiąc Stanisław spojrzał na Zofiją, która jednak nie zdawała się zrozumieć prawdziwego tych słów znaczenia.

Dzień wycieczki oznaczony został niebawem. Gdy słońce miało się ku zachodowi, przyprowadzono cztery osiodłane konie, na które jeźdzcy lekko wskoczywszy ruszyli galopem. Anusia jako przewodniczka wyprawy, wyprzedziła swych towarzyszów, Jan pośpieszył za nią, zostawiając Zofiją i Stanisława w dość znacznej odległości.

— Jasiu — odezwała się młoda kobieta, zwalniając bieg swego wierzchowca, czy twoja matka nie będzie nam miała za złe, że ułatwiamy bliższe poznanie Stasia i Zosi?

— Moja droga — odparł Jan — nie myśmy zbliżyli ich do siebie, Bóg to zrządził, niech się dzieje wola Jego. Jeżeli się pokochają i połączą, powiem śmiało iż się spełniło moje życzenie, i że szczęście Stasia w dobrych jest rękach, kiedy je powierzył tobie podobnej kobiecie.

Dalsza rozmowa przerwaną została zbliżeniem się Zofji i Stanisława i przez cały ciąg spaceru nie rozłączano się więcej.

Dnie szybko upływały. W białym dworku panowało powietrze wesołości i szczęścia. Kto raz przeszedł progi jego, musiał pod wpływem cnoty i wesela rozpogodzić zasępione czoło i zapomnieć na chwilę o troskach i strapieniu. Tak też było ze Stanisławem, od chwili przybycia do państwa Janów, życie przedstawiało mu się mniej chmurne. Nie raz słuchając śpiewu obu siostr, marzył nawet o szczęściu, i byłby dał wiele, gdyby pobyt u brata mógł trwać miesiące, lata nawet; a pragnął tego coraz więcej. im dłużej bawił w Zagórzu, im lepiej poznawał Zofiją.

Nadszedł wreszcie upragniony przez wszystkich dzień wycieczki w góry. Niebo zaczęło dopiero przybierać swą poranną szatę, gdy już wyruszono w drogę.

Niedługo trwała przejażdżka z domu do stóp góry, gdzie zatrzymano się, by iść pieszo aż do szczytu, na którym piękna świątynia jak biały orzeł, roztacza majestatycznie swe skrzydła. Kamienista droga była nader trudną do przebycia. Jan podał rękę żonie, Stanisław Zofji.

Kto zwiedzał urocze a górzyste okolice, — wie jaka nagroda czeka podróżnego, gdy po trudzie przebycia stromego urwiska, stanie na szczycie, spojrzy do koła, i przed oczyma jego roztoczy się kilko milowa przestrzeń. Wtedy rozmaitość krajobrazu, olśniewając wzrok przepychem natury, wznosi ducha ku Temu który jest Twórcą tych cudów.

Takiego wrażenia doznali nasi podróżnicy, gdy stanąwszy u celu owej wyprawy, podążyli na wieżę Śto-krzyzkiej świątyni.

Rozległy krajobraz oświetlony porannem słońcem, roztoczył się przed ich zachwyconemi oczyma; zapuściwszy spojrzenie w dal, patrzyli w milczeniu uwielbienia pełni.

— I cóż o tem powiesz? zapytał Jan Stanisława.

— Wyrażę się chyba jak Göthe, który tak słusznie powiedział, że natura ma wdzięk i urok nieskończoności! — odrzekł zapytany.

— A wdzięk ten posiada dla tego, że jest wiernem odbiciem potęgi Twórcy — dodała pół-głosem Zofija nieodrywając oczów od krajobrazu.

Obejrzawszy świątynię, zapuszczono się w zielony las pokrywający górę, a usiadłszy na miękkiej murawie gdzie ich czekało sute śniadanie, ożywioną prowadzili rozmowę.

— Co pani na myśl przywodzą, zapytał Stanisław Zofiję, te stare mury po których mówiąc słowami poety: powój wdzierając się, pisze Baltazara zgłoskami „ruina"?

— Przeszłość! odparła zagadnięta.

— O tak, przeszłość, powtórzył młody człowiek. Lubię myślić o czasie minionym, zagłębiać się w tej poważnej przeszłości! Żal mi każdego dnia, który upłynąwszy wpada w odmęt wieczności.

— Ach! pocóż opłakiwać przeszłość? rzekła poważnie Anna. Niech mi pan wierzy, ten tylko jest prawdziwie odważnym, kto przyjmuje przyszłość bez trwogi a z przeszłości żałuje jedynie tylko win swoich!

— A przyszłość, przyszłość! westchnął Stanisław to odmęt, to wielka nieroztrzygnięta zagadka.

— Której ja jednak odgadnąć nie pragnę kiedy ona w ręku Boga, dodała Zofija.

— O! tak, ciągnął dalej Stanisław, z odcieniem goryczy. Wierzę i ja w miłosierdzie Wszechmocnego, lecz są niekiedy położenia wyjątkowe, w których ludzie odpychają szczęście jakie im los przedstawia, a śpieszą ślepo ku przepaści, pociągając za sobą niewinne ofiary.

— Na to mamy siłę woli i rozum by walczyć przeciw prądowi jaki nas porywa, odrzekła Anna.

— A jak tego nie ma? westchnął Stanisław.

— Wtedy zostaje jeszcze nadzieja i cierpliwość, wtrąciła Zofija.

Na tem skończyła się rozmowa, która w sercu Jana zapaliła iskrę obawy o brata. Powróciwszy do domu starał się go wybadać, lecz Stanisław nic mu nie wyznał; miał bowiem nadzieję że czarna chmura wisząca nad jego głową, przeciągnie pędzona wiatrem okoliczności; potrzeba mu tylko było jak najwięcej czasu.

Niekiedy ciężki smutek ogarniał jego umysł, lecz wtedy starał się zbliżyć do Zofji a widok jej uspokajał go zupełnie.

Już trzy tygodnie upłynęły, od dnia przybycia Stanisława do Zagórza. Właśnie zebrano się w salonie białego dworku, Zofija kończyła grać na fortepianie. Stanisław stał wsparty o poręcz krzesła, a oczy jego wlepione były w klasyczny profil dziewicy.

Bez najmniejszego szelestu wysunęła się Anusia z pokoju, za chwilę wywołano Jana. Ostatnie akorda przebrzmiały gdy Stanisław zbliżył się szybko do Zofji, a stanąwszy przed nią rzekł stłumionym głosem:

— Pani... jestem bardzo nieszczęśliwy!

Na jej twarzy nie odbiło się najmniejsze wzruszenie, Zofija umiała panować nad sobą.

— Zofijo! mówił dalej młodzieniec, biorąc jej rękę, Zofijo! kocham cię!

Na te słowa, młoda kobieta wstała milcząc, piękna jak marzenie.

— Mogłabym kiedyś odpłacić się wzajemnością, odrzekła. A wysunąwszy łagodnie rękę którą Stanisław z uczuciem do ust przycisnął, wyszła z pokoju.

Młody człowiek padł na krzesło, załamawszy ręce. Lecz nagle błysła mu myśl jakaś, szybko porwał się z miejsca i pobiegł do swego pokoju.

Tymczasem Zofija udawszy się do siebie, usiadła przy stoliku a wsparłszy głowę na dłoni myślała długo.

Wynikiem tego zastanowienia się nad sobą było, iż wziąwszy za pióro, zaczęła pisać co następuje:

Najdroższa moja Jadwisiu!

Jakże dawno nie pisałam do ciebie, nie wątpię iż moje milczenie cię zadziwia, ale znając mnie nie myślisz iż zapomniałam o tobie. O nie najdroższa! myślę zawsze o tych chwilach błogiego spokoju, które razem spędziłyśmy i proszę Boga by się jeszcze wróciły. Odebrałaś listy jakie do ciebie pisałam w pierwszych dniach mego pobytu w Zagórzu — wiesz zatem jak mi dobrze przy mojej kochanej Anusi i nieocenionym Jasiu, którego szlachetny charakter dałam ci już poznać. Wiesz także iż od trzech tygodni bawi tu brat Jana pan Stanisław Stecki. Ach! czy uwierzysz że wszystko coś przewidziała w ostatnim liście spełniło się? O tak, jak dotąd spełniło zupełnie. Co przyniesie przyszłość? Nie wiem. Lecz przeczucie nic mi dobrego nie wróży. Jest pewna okoliczność która mnie przestrasza; dostrzegłam że w sercu jego dzieje się coś o czem ani Jan, ani Anusia nie wiedzą. Toczy się tam jakaś walka ukryta, z której on nie wyjdzie zwycięzko, gdyż mimo woli wydał się Stanisław ze swym zupełnym brakiem siły moralnej. Jednak nie obwiniam go, tylko żałuję serdecznie i nie wątpię że nabędzie jej z czasem, gdyż brat tak niezłomnego jak Jan człowieka nie może być słabego ducha. Powiedział mi iż jest nieszczęśliwym; a nieszczęście tak różnie działać zwykło, jednym dodaje hartu duszy, a drugich osłabia biedny Stanisław do tych ostatnich należy. Wiesz wolałbym nie znać go wcale. Wybacz mi iż ci tak wyłącznie o sobie piszę i nie zapominaj mnie nigdy.

Zofija.

W tejże chwili Stanisław siedząc w swoim pokoju przy biurku pisał do matki:

Kochana Matko! Wiesz jak zawsze pragnąłem cię zadowolnić i być ci posłusznym. Pojmujesz ile mnie kosztuje po raz pierwszy wyłamać się z pod twojej władzy a czyniąc to odwołać się do twego rozsądku i serca. Sądzę iż pragniesz mojego szczęścia matko; a zatem nie ociągam się z doniesieniem, że nigdy szczęśliwym nie będę jeżeli związek mój z Juliją Stecką, doprowadziszz do skutku. Pragniesz bym przy domowem ognisku pędził dalsze dnie moje, pozwólże wybrać mi towarzyszkę życia podług własnego przekonania. Matko, ja kocham anioła który by mi dał szczęście na ziemi; a wtedy błogosławiłbym cię na każdym kroku.

Odpowiedz mi prędko! Nie zostawiaj w niepewności twego syna, który już w myśli śpieszy ci podziękować, żeś się do jego najgorętszych przychyliła pragnień.

Stanisław.

Po napisaniu tego listu młody człowiek wyszedł pełen nadziei, by się połączyć z bratem i jego żoną; zastał ich w ogrodzie i zadziwił się trochę ujrzawszy z nimi Zofiją, tak spokojną i poważną jak zawsze.

(d. n.)

Słówko o Wagnerze

i zamierzonem otwarciu teatru jego w Bayreuth.

Bayreuth nie jest jednym z wielkich grodów niemieckiej ojczyzny ani nawet jakiemś znaczniejszem miastem bawarskiem, jednakże turysta jadący z Monachium do Wiednia, z przyjemnością może się tu zatrzymać na jednodniowy wypoczynek. Położone jest nad brzegami Menu który w pobliżu bierze swój początek, wśród rozkosznych pagórków i milczących dolin; do koła cudny roztacza się widok. Bayreuth ma swoje wspomnienia historyczne i literackie; posiada piękny teatr, za wielki jak na obecne stanowisko miasta, kilka wspaniałych pałaców i parę starożytnych okolicznych zamków, świadczących o minionej świetności owego miniaturowego dworu istniejącego tu w XVIII wieku ukochanej siostry Fryderyki Wilhelminy, margrabiny von Bayreuth.

W miesiącu sierpniu r. b. gdy nareszcie wykonaną zostanie od tak dawna zapowiedziana i oczekiwana tetralogia muzykalno-dramatyczna Ryszarda Wagnera, p. n. *Cyrkl Niebelungów*, Bayreuth znowu czasowo przynajmniej świetnym zajaśnieje blaskiem. Jakiekolwiek olbrzymie to dzieło mieć będzie powodzenie, w każdym razie można przepowiedzieć, że stanowić ono będzie epokę w dziejach sztuki muzykalnej i wywoła jakiś upadek. Jaki gmach runie: czy na w pół obalona forteca starego formalizmu, czy zaczarowany pałac muzyki przyszłości? — przyszłość pokaże. Teorye Wagnera, jego zdolności twórcze poddane zostaną stanowczej próbie, od jej rezultatu zależy sława Wagnera i stanowisko jakie zajmie w rzędzie kompozytorów.

Najwięksi przeciwnicy Wagnera nie mogą zaprzeczyć, że jest człowiekiem czynu i żelaznej wytrwałości, w czem różni się niesłychanie od większości kompozytorów i poetów niemieckich; przeszedł on w życiu swojem tyle zawodów, rozwianych złudzeń i nadziei, przebył tyle walk i tyle odniósł tryumfów, że kiedyś wierna jego biografia zakrawać będzie na romans.

Wagner temi słowy tłomaczy nieustannie władający nim niepokój:

„Gdym przyszedł na świat *Norna*, Pandora mitologji północy, pochyliła się nad moją kolebką i tchnęła we mnie ducha niespokojności, zawsze uganiającego się za czemś nowem."

I następstwa fatalnego tego daru zaczęły się objawiać od lat dziecinnych; mając lat ledwie jedenaście, (1824 r.) ułożył kolosalny dramat, będący jak sam mówi „mięszaniną z *Hamleta* i z *Króla Lear*. Czterdzieści-dwie osób, pisze dalej, umiera w ciągu akcyi, a tak w braku osób żywych, musiałem w ostatnich aktach wszystkie ich duchy wyprowadzać na scenę."

Ma się rozumieć że cały dramat był zbiorem niedorzeczności ale jednak nacechowanej pewną wzniosłością; było to coś jak bawidełko tytana, z którem nie mogłaby igrać ręka zwyczajnego śmiertelnika. W podobny sposób zbudziło się w nim poczucie twórczości muzykalnej. Był raz obecnym na wykonaniu dramatu lirycznego *Egmont* Bethovena, i niebawem uczuł w sobie żądzę współzawodnictwa. Nie posiadając najmniejszych nawet wiadomości teoretycznych, postanowił otworzyć w muzyce tragedyę swego układu. I znów spotkać go musiał zawód i niepowodzenie — ale żadne niepowodzenia zasłużone czy nie, nigdy nie zdołały zniechęcić tego niezmordowanego umysłu; przez pewien czas jeszcze układał dzieła orkiestrowe, jakiemś olbrzymiem nacechowane piętnem, z tych mianowicie jedna uwertura, „prawdziwy typ dziwacznych wybryków" jak się sam później wyraził, została najsłuszniej wyśmianą i wygwizdaną w Lipsku.

Wkrótce jednak poczucie zdrowego rozsądku zawsze prawie łączące się z prawdziwym darem artystyczności, przekonało młodego zapaleńca o bezcelności prób i pokuszeń nie opartych na prawdziwych zasadach i pewnych przewodnikach, i wtedy to zaczął uczyć się nadzwyczaj gorliwie teoryi muzyki, chcąc pilnością i pracą wynagrodzić czas stracony. Jednak w tej pracy jego było coś narwanego, coś spazmatycznego, i wszyscy niemal profesorowie z wyjątkiem Candor'a Veinlig uważali za leniwego i upartego. I mieli słuszność: jest w naturze Wagnera coś autodydaktycznego; zawsze woli nabywać własnem doświadczeniem, czego mógłby daleko łatwiej nauczyć się od innych. Czterech tylko wielkich mistrzów, już nie żyjących obrał sobie za przewodników: Gluck'a i Mozart'a, Bach'a i Bethoven'a; ostatniego

szczególniej już nie uwielbieniem ale bałwochwalczą czcią otoczył. Przepisał własną ręką wszystkie jego partycye; usypiał nucąc sonaty, wstawał śpiewając kwartety i symfonije. Miał wtedy lat ośmnaście.

Przyszłość nie w zbyt świetnych przedstawiała mu się barwach; nie miał środków utrzymania i dla tego zmuszony był przyjąć obowiązek dyrektora opery w małem mieście: jakże to podrzędne stanowisko dla młodzieńca co o tak świetnej roił przyszłości! Repertoar teatru składał się z najnędzniejszych ramot włoskich, i biedny Wagner musiał ich uczyć i powtarzać nieustannie, ze śpiewakami nader podrzędnemi i ograniczonemi. Były też to najcięższe może w życiu jego chwile, jednak z obowiązku swego wywiązywał się nader sumiennie i wiele umiał zrobić mimo tak nędznych środków. Wtedy to nabrał tej niezrównanej biegłości dyrygowania orkiestrą i doskonałej znajomości efektów scenicznych, którą tak przewyższa autorów dramatycznych i kompozytorów niemieckich. W owym także czasie zawarł nierozważne małżeństwo z jakąś aktorką, które zatruło do reszty i tak już ciężkie życie. Jak w ogóle artyści, Wagner miał gust wykształcony: wiele potrzeb, a zbyt szczupłe wynagrodzenie jakie pobierał, nie mogło wystarczyć na utrzymanie domu, w którym pod każdym względem brakło ładu i porządku.

Niepodobna było wytrwać w takiem położeniu i koniecznie należało obmyśleć środek wyjścia; Wagner uczynił to w sposób doskonale charakteryzujący jego osobistość. Postanowił sobie jednym skokiem stanąć u szczytu sławy, napisać wielki utwór i przedstawić go na jednym z wielkich teatrów europejskich. Najwłaściwszym do tego miejscem uznał Paryż, jako centrum intellektualnego świata; napisał więc do Scribe'go, najznakomitszego wówczas dramaturga francuzkiego, librecisty Meyerbeer'a i Halevy'ego, prosząc go o libretto. Łatwo się domyślić, że Scribe nie uwzględnił prośby nieznanego cudzoziemca. Jednak odmowa ta nie zniechęciła Wagnera do powziętego zamiaru; w braku kollaboratora postanowił sam ułożyć libretto, a za przedmiot do niego obrał *Rienzi'ego* Bulwera, i zaczął podkładać go pod muzykę. Ukończywszy dwa pierwsze akta udał się do Londynu i Paryża, tego Eldorado fantastycznych jego nadziei. Tu nowy spotkał go zawód. Dyrektorowie teatrów odmówili jednozgodnie cudzoziemcowi nie mającemu protekcyi ani stosunków, a nieszczęśliwy kompozytor w ostatnią prawie popadł nędzę. Aby zarobić na kawałek chleba układał popularne śpiewki na różne instrumenta.

W tak smutnem położeniu tylko miłość sztuki dodawała mu odwagi. Jak to sam mówi, ogarnęła go wtedy nieprzeparta żądza wywnętrzenia swej boleści, a popularny typ *Uciekającego Holendra* (Fliehende Holender) tego morskiego włóczęgi, wydał mu się doskonałym symbolem własnego jego opuszczenia i nędzy. Tym sposobem z rodzaju historycznego jakiego się trzymał w *Rienzi'm*, Wagner przerzucił się pod natchnieniem własnej natury do rodzaju symbolicznego, który odtąd stał się podstawą jego dramatyczno-muzykalnych utworów.

Powoli w położeniu jego korzystna zaszła zmiana. Po ukończeniu *Uciekającego Holendra* wykończony przez niego w Paryżu *Rienzi* został przyjęty przez dyrekcyę dworskiego teatru w Dreznie, który był wtedy najpierwszym z teatrów niemieckich, i zarazem odebrał wezwanie aby sam przybył kierować przedstawieniem. Czyniąc zadość tak pochlebnemu wezwaniu, opuścił Paryż 1842 r. Powodzenie *Rienzi'ego* zjednało mu posadę dyrektora orkiestry w teatrze drezdeńskim, i wtedy to po raz pierwszy w życiu nie potrzebował troszczyć się o chleb powszedni i miał pod ręką pierwszorzędne żywioły artystyczne. Wtedy to zaczął układać nową operę *Tanhäuser* do której sam także ułożył libretto.

I *Tanhäuser* i *Fliehende Holender* zimnego bardzo doznały przyjęcia, i Wagner zmuszony był przyznać, że stylu jaki przyjął w tych dwóch utworach, publiczność nie ocenia ani nawet rozumie, powstałe ztąd zniechęcenie obudziło w nim żądzę awanturniczych przygód, która w połączeniu z wrodzonym uczuciem przeciwieństwa co i jak istniało, silniej niż przekonanie popchnęła go do udziału w ruchu rewolucyjnym z 1848 i 1849 r.

Wiadomo powszechnie jak wówczas pruskie bagnety stłumiły w Saksonji zachciewki niezawisłości, w skutku czego kompozytor rewolucyonista stracił urzędową posadę i znowu musiał się tułać po obcej ziemi.

Opuściwszy Drezno Wagner zatrzymał się kilka dni w Wejmarze; tu spotkała go nader miła niespodzianka iż był obecnym na przedstawieniu opery swojej *Tannhäuser* pod dyrekcyą Liszta, i to tak zgodnie z jego pojęciami, iż zdawało mu się że właśnie jego dusza przeszła w wielkiego mistrza. Odtąd zawiązała się między nimi najserdeczniejsza przyjaźń i dzięki protekcyi sławnego pianisty, opery Wagnera znalazły przystęp do scen niemieckich i na niektórych przedstawione były z powodzeniem. Wagner przez lat dziesięć, w następstwie zaburzeń drezdeńskich, nie mógł brać czynnego udziału w przedstawieniu dzieł swoich; zamieszkał w Szwajcaryi i ztamtąd robił wycieczki do Włoch, Paryża i Londynu, gdzie w 1855 r. kierował koncertami Towarzystwa filarmonicznego.

Nie próżnował jednak podczas tego mimowolnego spoczynku; nie mogąc władać laseczką dyrektorską, chwycił pióro krytyka i rozpoczął utarczkę literacką którą dotąd prowadzi. Wtedy to napisał dwa ważne dzieła: *Sztuka przyszłości* oraz *Opera* i *Dramat*, oraz wiele broszur i artykułów.

W r. 1855 ukończył i przesłał przyjaciołom poemat olbrzymiego dramatu muzykalnego. *Cyrkl Niebelungów* jest jakby seryą czterech dramatów, tetralogiją jakie nie pojawiały się od czasu Eschylesa i Sofoklesa. Jednocześnie układał muzykę, i w niespełna trzy lata podłożył ją do dwóch pierwszych dramatów i znacznej części trzeciego. Pracy tej dokonał w zupełnem odosobnieniu i prawie pozbawiony nadziei że kiedykolwiek zbierze jej owoce. Oddalony od przyjaciół, bez poparcia i zachęty, mógł liczyć tylko na swój osobisty wpływ artystyczny, a ten w tym razie na nie wiele przydać się mógł, bo jakże nawet żądać od dyrekcyi teatrów aby przyjęły utwór, który obok pewnej dziwaczności samym obszarem nie nadawał się do żadnej sceny, a długością zdawał się być za silnym probierzem cierpliwości najcierpliwszej nawet publiczności. Energija i pewność siebie jakie Wagner rozwinął w wykonaniu swego planu, uwydatniają żywo ową wybitną cechę jego charakteru, która odnośnie do punktu zapatrywania się uchodzić może za zarozumiałość lub bohaterstwo, w każdym jednak razie zasługuje na uznanie. To pewna że wytrwałość Wagnera pomyślnym będzie uwieńczona skutkiem, skoro wbrew wszelkim trudnościom i zawadom, a co więcej wbrew drwinkom i szyderstwu nieprzyjaznej mu prasy, tetralogija którą nazwał *Cyklem Niebelungów* przedstawiona będzie w miesiącu sierpniu r. b. zgodnie z wszelkiemi marzonemi przez niego warunkami.

Cyrkl Niebelungów składa się z trzech dramatów: *Wylkyria, Zygfryd i Zmrok Bogów*, które poprzedza prolog czyli dramat wstępny, p. n. *Rheingold* (Złoto Renu). Każda z tych sztuk jest tak długa jak zwyczajna opera i zajmie całe przedstawienie Tetralogija ta zaczerpnięta jest z najstarożytniejszych pomników literatury teutońskiej, jakiemi są: poemata eddyjskie i *Volsunga Saga* jak wiadomo skandynawskiego pochodzenia, a które Wagner słusznie przełożył nad wersye późniejsze *Niebenlungenlied'ów*. W *Niebelungach* typy oryginalne ukazują się dziwnie pozmieniane, a ich atrybucye i stosunki są nader zaciemnione przez arbitralne dodatki i pomysły poetów; Wagner zaś zatrzymał miejscowości podane w wersyi średniowiecznej, tylko nazwiska skandynawskie zamienił na równo - znaczne germańskie.

Główną myśl poematu wskazuje sama nazwa prologu (*Złoto Renu*). Złoto, lub co na jedno wyjdzie w moralnem znaczeniu, żądza złota jest fatalnym żywiołem akcyi. Pierwotnie, leży ono w otchłaniach Renu, lecz następnie porwane ztamtąd i zamienione w koło magiczne, roztacza zgubny swój wpływ między bogami i ludźmi. Za to że go pożądał, Watan ściąga na siebie przekleństwo, później gdy chce wydrzeć złoto potęgom ciemności, skazany zostaje na bezczynność z powodu mimowolnie danego przyrzeczenia. Aby odwrócić ostateczną czekającą go karę, zamyśla wytworzyć nadludzkiego bohatera, który z własnego popędu zwróci Renowi wydarte mu skarby. Zygmunt i Zyglinda, Sygfryd i Brynhilda — dwóch bohaterów i dwie bohaterki, stają się z kolei przedstawicielkami ognistego natchnienia, nie cofającego się przed przeciwnościami. Ślepy los ich przygniata, ale sama treść ich istoty pozostaje nietykalną, umierają ale zwyciężają. Bogowie nie mogą uniknąć fatalnego swego losu, ale i ciemności są obalone i ze zgliszcz Walhalli wyłania się świat nowy, który nie da się olśnić blaskiem złota ani krępować prawami konwencyonalności. Wszystko to znajduje się w źródłach któreśmy wskazali, ale tegoczesny poeta nie mało musiał zadać sobie trudu aby rozwikłać sieć starych tradycyi i wyprowadzić z nich akcyę nieustającą, której wszystkie zajścia zmierzają do ostatniego rozwiązania.

Muzyka odpowiada naturze przedmiotu, jest wielka i nadzwyczaj śmiała; Wagner przemawia całkiem odmiennym językiem niż styl dawnych oper. Niepodobna wydać teraz sądu o wymowie i żywotności artystycznej nowego tego języka.

Aby stosownie przedstawić dramata pełne tak szczególnych sytuacyi, potrzeba niezwykłego gustu i wielkich zasobów materyalnych. Wagner bronił zawsze prawowitości efektów scenicznych o tyle ile wiążą się z akcyą dramatyczną. Dla przedstawienia swego utworu, Wagner domaga się od teatru tegoczesnego wszelkich środków jakiemi tenże rozporządzać może; podobne sceny jak przejażdżki w powietrzu Walkyryj, walka Sygfryda ze smokiem, zniszczenie ogniem Walhalli i boskich jej mieszkańców, aby dobrze były przedstawione, aby wzniosłość nie zamieniła się w śmieszność, wymagają wielkiej dokładności urządzeń scenicznych, jakich nie możnaby zaprowadzić w zwyczajnym teatrze, bez zawieszenia na kilka miesięcy wszelkich innych reprezentacyi. I dla tego to Wagner powziął śmiałą myśl zbudowania oddzielnego teatru dla swej tetralogji; w tym zamiarze utwierdził go całkiem inny jeszcze wzgląd całkiem psychologicznej natury: chciał zupełnie odosobnić i aktorów i publiczność od wszelkich innych widowisk dramatycznych. Dla tego to przedstawieniu swego dzieła pragnie nadać charakter uroczystości narodowej; dla tego wybrał małe miasteczko Bayreuth aby inny stały teatr nie odrywał uwagi widzów od jego wyjątkowego utworu.

Kiedy temu lat dwanaście ogłosił swój zamiar, prasa uznała go za wynik przewrotu rozumu, a jednak dzięki popularności autora, gdy w ośm lat później odezwano się do jego wielbicieli, aby złożyli sumę potrzebną do urzeczywistnienia, zaraz pozawią-

żywały się stowarzyszenia nietylko w wielkich miastach niemieckich, ale nawet w Medyolanie, Londynie, Nowym-Yorku i t. d. Koszt całego tego przedsięwzięcia obliczono w przybliżeniu na 45,000 funt. szterlingów — bardzo to wielka suma na wyrachowane Niemcy; otóż postanowiono zebrać ją przez wypuszczenie akcyi po 45 funt. szterlingów; każda taka akcya daje prawo do biletu wejścia na trzy serye przedstawień, z których każde zajmować będzie cztery wieczory i trwać będą przez trzy z kolei tygodnie miesiąca sierpnia 1876 r. Jeżli posiadacz akcyi zechce, może rozdzielić ją na trzy części i oddać tyluż osobom, ale w takim razie każda z nich będzie obecną na jednej tylko seryi, to jest na czterech przedstawieniach. Tak więc bilet na każden raz kosztować będzie blisko 4 funt. co nawet i w Londynie wydaje się za drogo. Prawie wszystkie akcye są już rozebrane; budowa gmachu i wewnętrzne urządzenie bardzo posunięte, śpiewacy i muzykanci zamówieni, a próby odbywane w lecie 1865 r. obiecują zadawalniające wykonanie.

Teatr, jako tymczasowo, wzniesiony jest z drzewa; powierzchowność nie przedstawia żadnego charakteru budowlanego; wnętrze przypomina prostoty teatrów greckich. Loż nie ma wcale, tylko krzesła ustawione w amfiteatr. Orkiestra jest niewidzialna, Wagner zaprowadził to urządzenie tak ze względów akustycznych jak i estetycznych.

Zwolennicy Wagnera obiecują sobie, że przedstawienia te staną się źródłem odrodzenia sztuki narodowej a szczególniej dramatu lirycznego w Niemczech. Czy nadzieje te nie rozwieją się—przyszłość pokaże.

Wagner pracował lat 20 nad utworzeniem swojej tetralogji, ale w tymże czasie ułożył jeszcze kilka innych utworów. Od 1856 do 1859 skomponował wielki dramat liryczny *Tristan i Iselda*; utwór ten uważany jest przez zwolenników za najgenialniejszy z dzieł jego (z wyjątkiem tetralogji) jednak w ogóle nie cieszył się wielkiem powodzeniem. Inny dramat liryczny *Śpiewacy z Nüremberġi* utrzymał się w repertoarach kilku teatrów niemieckich i zajmuje pierwsze miejsce po *Lohengrin'ie*. Jest to rodzaj opery komicznej opiewającej poetyczne czyny zacnych mieszczan norymbergskich w XVI wieku, a głównym bohaterem jest Hans Sachs, szewc-poeta ówczesny.

Od czasu jak wolno mu przebywać w rodzinnym kraju, niejednokrotnie kierował z powodzeniem wykonaniem dzieł swoich. W r. 1864, młody król bawarski, wielki wielbiciel muzyki, zawezwał go do Monachium na dyrektora teatru królewskiego i dla zreorganizowania bawarskich zakładów muzykalnych. Od trzech lat zamieszkał stale w Bayreuth, i tam głównie się zajmuje przygotowaniami wielkiej uroczystości muzykalnej, zapowiedzianej na sierpień.

Korespondencya z Maryampola.

Korespondencya z prowincyi jest nader pożądaną i czyta się z żywem zajęciem; to też panowie korespondenci, jeżeli biorą pióro do ręki, powinni pamiętać, że korespondencya tak jak i krytyka, mają pewne prawa, pewne warunki, które zachować potrzeba.

Ta uwaga nasunęła się mimowoli piszącemu, po odczytaniu korespondencyi z Maryampola, zamieszczonej w N-rze 5 z r. b. Opiekuna Domowego, w której autor donosząc, że w tem mieście dwa piękne odczyty nie obudziły zajęcia wyprowadza wniosek, iż Maryampol *więcej dba o cywilizacyę nóg niż głowy*.

Nie wchodząc w rozbieranie powodów, dla których odczyty wspomniane nie miały powodzenia, samo uczucie sprawiedliwości dozwala pozostawić każdemu wolę pójść lub nie pójść na odczyt, tak jak każdemu wolno pójść lub nie pójść na koncert, a mimo tego sława artysty zaćmioną nie będzie. Są to bowiem interesa czysto osobistej i miejscowej natury.

Nie zbyt dawno, bo w upłynionym poście, były odczyty w Warszawie nie pozostawiające nic do życzenia; a mimo tego niektóre z nich miały słuchaczy zbyt mało. Nie było to winą odczytu ale winą pewnych niefortunnych okoliczności, zbiegu zatrudnień, nawet przeszkód atmosferycznych i ubliżyłby ten bardzo prawdzie, ktoby napisał że na odczytach nie znają się Warszawianie. Na odczyt naprzykład w dzień S-go Józefa odbyty, publiczność nie licznie się zgromadziła, bo w dniu tym wielu Warszawian obchodzi swe imieniny, zatem idzie ogół na uroczystość, powinszowania, odwiedziny po domach prywatnych, a gdy dodamy jeszcze słotę, to fizyczne stanie się niepodobieństwo, ażeby odczyt w takich warunkach mógł odbyć się z powodzeniem. Tymczasem innego dnia ten sam odczyt zgromadziłby liczną publiczność, któraby przepełniła salę i obsypała oklaskami prelegenta. Należy więc uszanować publiczność i mieć te pewne okoliczności na względzie a nie maltretować ją tak, jak to uczynił korespondent z Maryampola, traktujący tameczną publiczność, jakby jaki nauczyciel swe dziateczki szkolne, obowiązane bezwarunkowo zasiąść ławki, skoro on ma przemawiać z katedry o oznaczonej godzinie.

Widocznie autorowi owego artykułu nie podobała się publiczność Maryampolska, bo darować jej nawet tego nie może, że lubiła w karnawale zgromadzać się na tańce i bawiła się ochoczo, na które, jak pisze korespondent, *można tu łowić ludzi jak ryby na wędkę*. Cóż robić? na całym świecie tańczą nie tylko w Maryampolu. Tego żadna reklama nie usunie dopóki młodzi ludzie istnieć będą. Gorzejby było, żeby się odrazu wszyscy postarzeli i posypali sobie głowy popiołem dlatego, że nie podobali się korespondentowi. Nie skłoni ich do takiej żałoby nawet i ten jego zarzut, że *„po błogim śnie długoletnim Maryampol tej zimy zaczął okazywać znaki życia zamiast dotychczasowej wegetacyi,“* a nie skłoni dla tej prostej przyczyny że jest nie prawdziwy; bo zawsze przedtem i chętnie Maryampol zgromadzał się ilekroć szło o czyn dobry, o złożenie ofiary na ołtarz cierpiącej ludzkości, i chętnie przyczyniał się do osiągnięcia szlachetnego celu, przez podanie ręki pomocy cierpiącej ludzkości i do okazania sympatyi i szacunku dla osób, które w czynnościach do tego celu dążących jakikolwiek udział przyjmowały.

I tak, przed kilkoma laty, któż tego nie pamięta z tamecznych mieszkańców, w Maryampolskim szpitalu, stały drewniane, zużyte łóżka, na których ciężką częstokroć niemocą złożeni, dogodnego spoczynku nie mieli. Serce się krajało patrząc na te niewygody, które naturalnie powiększały cierpienia chorych.

Otóż pewnej osobie, której imienia wymieniać nie jestem upoważniony, przyszła do głowy szlachetna myśl, ażeby urządzić koncert amatorski w Maryampolu, zaprosić na niego mieszkańców tutejszych i okolicznych i z funduszu z tego źródła osiągniętego zakupić łóżka do Szpitala. Myśl zacna zaledwie została wyrzeczoną, tak żywo została podchwyconą i do serca przyjętą, że i amatorowie się znaleźli i publiczność się licznie zgromadziła i ów koncert odbył się w Maryampolu d. 31 października 1874 r. w warunkach tak miłych i sympatycznych dla każdego dobrze myślącego człowieka — że publiczność Maryampolska zaskarbiła sobie tym czynem prawo do szacunku ogółu, gdyż dzięki temu koncertowi, obecnie szpital tameczny ma 20 łóżek żelaznych dziesięciorublowych zakupionych w fabryce p. Plewińskiego w Warszawie, a tak dogodnych, że życzyćby należało—aby podobne łóżka miały wszystkie szpitale w kraju. Zbyt więc porywczo uczynił korespondent zarzucając Maryampolowi sen długoletni i wegetacyą.

W jednem z miasteczek południowej Francyi, odbywał się pewnego razu koncert amatorski na cel dobroczynny. W czasie tego koncertu, korzystając z pauzy, siadła do fortepianu nieznajoma podróżna i sama sobie akompaniując, tak zachwyciła słuchaczy swym śpiewem, że zostali zdumieni bo tak pięknego śpiewu nigdy jeszcze nie słyszeli. Była to jak się później dowiedziano p. Malibran. A jednak pomiędzy publicznością znalazł się pewien ktoś, który zaopinijował w miejscowem pisemku —* że jak na małą salę to nieznajoma śpiewała zagłośno.

Coś podobnego trafiło się i w Maryampolu, bo w owym koncercie na rzecz miejscowego Szpitala przyjął udział pan Marek Sokołowski, słynny artysta z gry na gitarze nietylko w kraju lecz i zagranicą. Jak Warszawa oceniła grę tego artysty, mamy ślady w recenzyach samych artystów, których powaga, jako specyalistów jest uznana, i do których zdania ogół przywiązuje swą wiarę. Mówię tu o panach Aleksandrze Zarzyckim i Janie Kleczyńskim, którzy swe recenzye o grze p. Sokołowskiego zamieścili NN-rach 126, 145 i 236 Tygodnika Illustrowanego, po koncertach danych przez tego artystę w r. 1868 w Warszawie. Otóż ten to sam p. Sokołowski przyjął właśnie udział w owym koncercie na rzecz Szpitala w Maryampolu. Publiczność przyjęła to jego wystąpienie z wdzięcznością i entuzyazmem; dla okazania tej wdzięczności w czynie, amatorowie urządzili koncert na rzecz pana Sokołowskiego. Ale i tu panu Sokołowskiemu, podobnie jak pani Malibran przytrafiło się coś arcy zabawnego, z tą tylko różnicą — że pani Malibran malkontent zarzucił śpiew zagłośny, a panu Sokołowskiemu korespondent z Maryampola zarzucił grę zasłabą *bo bez siły i energji*, i radzi *aby zaprzestał na gitarze gry wielkich fantazyi*.

Tak więc, czego panu Sokołowskiemu nie zarzucili specyalni recenzenci i koledzy artyści, czego nie dowiedział się na salonach księżnej Matyldy w Paryżu, ani po koncertach dawanych w obec osób panujących, to usłyszał od korespondenta z Maryampola, od korespondenta, niestety! który dobrzeby uczynił żeby sam przestał pisać wielkich fantazyi, jaką jest jego korespondencya; bo, istotnie, pisać o koncercie *gitary p. Sokołowskiego*, jest prawdziwą fantazyą, dowodzącą nieznajomości nawet języka. Gitara bowiem koncertu nie daje, tylko artysta na niej gra jący.

To wszystko okazuje, że powołana korespondencya jest napisana pod względem celów podrzędnych, wstydzących się jasnych promieni światła, że zatem nie kwalifikuje się do poważniejszego jej rozbioru. Ale zachodzą tu inne powody i względy, które skłaniają nas do przemówienia w obronie słuszności i prawdy.

Maryampol jak każde mniej ludne miasto, nie ma możności przyciągania do siebie artystów używających rozgłośnej sławy, a jednak w murach swoich liczy dosyć osób, które gotowe są zawsze przyjąć takich gości w sposób odpowiadający ich talentowi i zasłudze.

Tymczasem zwykłą koleją rzeczy ludzkich, nikt nie zbliża się do takiego miasta, w którem znajduje się korespondent nie krępujący się względami przyzwoitości.

Artyści bowiem szukają uznania a nie szykany, współczucia i wyrozumienia a nie lekceważenia. Każdy z nich bowiem, choćby najznakomitszy, jest zawsze tylko człowiekiem, mającym nieraz łzę w oku, a ból w piersi, zadany może w chwili, kiedy na estradę występuje. Nie małą rolę odgrywa tu i sam przypadek.

Niedawno był koncert w Berlinie w obec kwiatu tamecznej arystokracyi: występowała słynna fortepianistka Klara Schumann. Zaledwie koncertantka stanęła na estradzie zasypaną została na powitanie gradem bukietów. Jeden z tych bukietów tak nieszczęśliwie rzucony został, że uderzył w pierś koncertantkę i nagle wprawił ją w tak mocne osłabienie, że walcząc z niem nie miała siły tak odegrać koncertu jakby należało i koncert się nie udał.

Cóżby wtedy uczynili w Berlinie, gdyby tam kto był napisał o pani Schumann, *że gra bez siły i energji, że zatem dałaby lepiej pokój wielkiem fantazyom.* Uczyniliby bez wątpienia to samo, co mieszkańcy Maryampola, to jest odczytaliby taki artykuł z oburzeniem i zaprotestowaliby przeciwko temu; bo gdyby i takiemu artyście, jak p. Sokołowski, zdarzyło się nawet kiedy grać na koncercie słabiej, widzieliby w tem jedynie dowód jakiejś chwilowej niedyspozycyi, ale nigdy braku umiejętności — nagradzanej już oklaskami stolic europejskich.

Korespondent z całego Maryampola niezadowolony, nie darował nawet i tym, którzy jako amatorowie poświęcili swe talenta na koncercie na rzecz pana Sokołowskiego, i poprzednio na rzecz Szpitala odbytego.

Gdyby korespondent wiedział, ile to chwil niespokojnych i trwogi doświadcza nieraz amatorka, zanim odważy się wejść na estradę; gdyby zastanowił się że publiczność nie jest obowiązana bezwarunkowo pójść na koncert, ale obowiązaną jest w amatorce uznać nie artystkę, lecz tylko Siostrę Miłosierdzia, poświęcającą swój talent, o ile go ma, dla osób potrzebujących bratniej pomocy: że tem samem i publiczność występuje tu nie jako sędzia krytykujący artystów ale także jako Siostra Miłosierdzia; nie lekceważyłby koncertów amatorskich bo by wiedział, że koncert w takich warunkach odbyty, jest objawem moralnego udoskonalenia publiczności.

W takich też warunkach odbył się niegdyś koncert amatorski na Szpital w Maryampolu; jako też i ten, o którym piszemy, ale czy nadal tak będzie, czy teraz uda się amatorów zgromadzić, czy nie cofną się zrażeni złemi wyrażeniami korespondenta? Odpowiedzialność za to niechaj spadnie na niego samego.

Lecz właśnie jest to jeden więcej powód do skreślenia tej protestacyi przeciwko powołanej korespondencyi; bo mieszkańcy miasta nie mogą ani odpowiadać za anonima, ani też nie mają sposobu nakazać milczenia. Amatorowie zaś powinniby mieć wzgląd nie na pojedyncze jakieś pociski, ale na wewnętrzne przekonanie dające im uczuć pociechę z dokonanego dobrego czynu i na uznanie, które im udziela ogół rozsądnych ludzi, tem żywiej, tem gorącej i serdeczniej, im bardziej wystąpienie amatorów połączone zostało z nieprzyjemnościami tego rodzaju, jakiego była owa korespondencya z Maryampola, godna, ażeby pamięć o niej puścić raz na zawsze na fale zapomnienia.

Poraj.

Kilka uwag o powieściach
ELIZY ORZESZKO
przez
Ewelinę Burzyńską.

Powieść w naszych czasach zajmuje, jeśli nie pierwszorzędne, to bardzo wpływowe i silne stanowisko. Tendencyjno-socyalna nie jest podobna do owych fantastycznych bajek, dziecięco-marzycielską wyobraźnią ludu opowiadanych, z zabobonną wiarą, przy jaskrawym płomieniu szerokiego, staroświeckiego komina, słuchanych z dreszczem przerażenia i zachwytu, ze łzą rozrzewnienia, lub pustym śmiechem. A jednak ta bajka ludowa, to prototyp powieści. Strachy i ideały ówczesne żyją w niej jak w powieści naszej żyją bohaterowie naszych czasów, co pod lekką jej formą mają rozpowszechniać myśl autora i jego dążności jako będącemi dążnościami i ideami naszego wieku.

Wśród licznej, a odznaczającej się zdolnościami i uczciwością falangi powieściopisarzy naszych, odznacza się p. Eliza Orzeszkowa. I jej prace jak w ogólności wszystkich naszych powieściarzy, są tendencyjno-socyalne.

Na tle społeczeństwa naszego, rwącego się i usypiającego, łamiącego się z trudnemi okolicznościami otaczającemi go zewsząd, tworzy ona powieści swoje.

Jak realistyczny jest duch czasu naszego, tak realistyczne są powieści naszej autorki. Nie ma tam żadnych nadzwyczajności, życie idzie zwykłą koleją, ludzie są tacy jak ich spotykamy co chwila: szczęście i nieszczęście, miłość i nienawiść po prostu ludzkie, a pomimo tego realizmu, a raczej dla tego właśnie, dla tej prawdy uczuć charakterów i czynów, czytelnik zostaje pod wpływem poetycznego słowa, przejęty do głębi duszy głębokością myśli, wzniosłością uczucia autorki.

Nie mam zamiaru dawać szczegółowego rozbioru znanych powieści p. Elizy Orzeszkowej, chcę tylko w kilku słowach, streścić główne jej tendencye, zaznaczyć kierunek umysłów i dać poznać stan teraźniejszy społeczeństwa, tak jak ona nam go przedstawia.

Ludzkość cała w ogólności, a społeczeństwo nasze szczególnie znajduje się w stanie przechodowym, w stanie przełomu. Stare zasady i wyobrażenia walą się, stara moralność tonie, przywalone ciężarem teatralnych rupieci; nowe idee jeszcze siły do walki nie mają i niestety często pod piękną nazwą postępu, błyskają złudną zielenią bezdennych, błotnistych moczarów. Te więc ścierające się z sobą żywioły, przedstawia nam p. Eliza Orzeszkowa w powieściach swoich.

Pokolenie nasze cierpiąc, z powodu nieoględności pokoleń przeszłych, nieraz rzuca przekleństwem tam gdzie żalu łzę dać tylko można. Tu widzimy dwa wyraźne kierunki, które rozrywają pokolenie młodsze ludzi tak zwanych postępowych. Jedni zrywając z przeszłością, z tradycyą, obrzucając śmiechem lub wzgardą, te uczucia, któremi biły serca szlachetne przeszłych pokoleń, wywracają dawne ideały by na to miejsce wznieść nędzne bożyszcze samolubstwa: z biedy i niedostatku wyrasta gwałtowna żądza bogactw, gorączka złota trawi społeczeństwo, każden chce się dorwać do tego stołu zastawionego dla bogaczy, każden chce przy nim zasiąść, nie pytając jak się tam dostanie. Przesądy kastowe upadając zrobiły wyłom przez który mnóstwo ludzi nowych się ciśnie... Gorączkowa żądza dojścia do czegoś opanowała tłumy, takich typów w powieściach Orzeszkowej jest kilka wybornych; ci więc ludzie nowi krzyknęli, że ci co niegdyś przewodzili są już klasą przeżytą, której nie pozostaje nic więcej, jak skonać na swych herbowych tarczach, zdając w ręce innych swe majątki. Taką jest więc jedna partya, a raczej część społeczeństwa naszego. Składają ją ci, którzy przehandlowawszy sumienie na złoto, nikczemność nazwawszy uwolnieniem się od przesądów, nędzny płaski egoizm stawiając na miejsce cnoty a swoje malutkie ja przenosząc nad ogół, nie chcąc mieć żadnych obowiązków wypierają się przeszłości i chcą inaugurować erę uprawnionego samolubstwa.

Lecz na szczęście jeszcze społeczeństwo nasze zgangrenowanem nie jest: tuż obok staje partya przeciwna, partya ludzi postępu. Dla tych przeszłość nie jest martwą literą, ci nie zrzekają się tradycyi, nie złorzeczą, ale i nie idealizują. Postawieni pomiędzy ludźmi, których bałwochwalcza cześć dla przeszłości, każe czołem bić nawet przed złem dawnem, a temi których bogiem jest złoty cielec, potępieni przez jednych i drugich w nader trudnem są położeniu. Wiedzą i rozumieją, że z przeszłością zerwać ani człowiek, ani naród żaden nie może, że nie odrzuci od siebie, nie oderwie tego pasma dni wielkich i małych, nie zatrze w pamięci uczuć któremi kiedyś serce biło, czynów spełnionych a nawet nie urzeczywistnionych marzeń. Przez pewien przeciąg czasu, pod wpływem rozmaitych okoliczności wyrabia się charakter człowieka, lub też narodu; tego charakteru narodowego nie można się pozbyć, po długich latach może on uledz pewnej zmianie, ale zmienić się z gruntu w każdym razie nie może; nie zapierają się zatem charakteru swego ani tradycyi. Każden wiek ma swoją ideę kierowniczą, lecz główny ideał ludzkości pozostaje ten sam, a niejako fatalne konieczne dążenie do tegoż ideału. Przez to poczucie w sercach ludzkich wyrabia się pojęcie obowiązku. To więc silne, głęboko zrozumiane poczucie obowiązku cechuje tę część społeczeństwa naszego, którą postępową nazwać można. Oto są dwa prądy, dwa kierunki główne, wyraźne, zaznaczone w powieściach p. Orzeszkowej: hasłem pierwszego jest samolubstwo, drugiego użyteczność nie drobna, mała, materyalna użyteczność, ale pojęta w całem wielkiem znaczeniu tego słowa.

W powieściach znakomitej autorki, która wielkie myśli popularyzując w lekkiej formie, wybornie przedstawia się cały nasz narodowy charakter, obok cech właściwych wiekowi i stanu społeczeństwa. Żywo w nich widzimy dawne nasze zalety, poczciwe serce, hojną dłoń, otwartość i szczerość, miłość kraju i rodziny, szlachetność i śmiałość;—a także i wady próżniactwa i niedołęztwa, lekkomyślności i marnotrawstwa, niewytrwałości, nierzetelności i niezgodności. Te trzy kardynalne wady są rakiem toczącym nasze społeczeństwo. Czyż rzadkiem jest zjawiskiem Konrad Ręczyc uciekający przed wierzycielami z dziesięcio tysiącami rubli w kieszeni, bez myśli oszachrowania ale z potrzeby użycia tych pieniędzy na co innego, które jest pewny że kiedyś zwróci z podziękowaniem. Nierzetelność ta wpływa bardzo szkodliwie zabijając kredyt, a tem samem handel i stawia tamę temu, co jest siłą społeczeństwa, solidarności. Naturalna rzecz, że społeczeństwo, co tej spójni nie ma, chwieje się szkodząc sobie samemu — jednostki wpadają w sidła zastawione, nie zbyt nawet kunsztowne, nie mogąc się oprzeć elementom nieprzyjaznym a silniejszym, właśnie ową spójnią solidarności. Cnotę tę jak to nam okazuje autorka, tworząc typ przemysłowca Eli Makower, posiadają żydzi. Element żydowski tak silny u nas, że nie mógł nie zwrócić uwagi pisarki, tak głęboko obserwującej wszystkie odcienia społeczeństwa. Oto jak nam go przedstawia w powieści Eli Makower.

Żyd ten, jest przedstawicielem tego plemienia żądnego zysku, nie zważającego na środki byle dojść do celu, a jednak sercem gorącem kochającego się nawzajem. Solidarność jest główną cechą charakteryzującą plemię Izraela, jej zawdzięcza swoją żywotność; naród cały jest wielką rodziną, jeden drugiemu podaje rękę jak brat bratu, nie daje mu ginąć, ratuje z upadku. Lecz żydzi, tak ludzcy i miłosierni jedni dla drugich, stają się zupełnie inni w stosunkach z chrześcijanami, z gojami—goj, to ich wiekuisty nieprzyjaciel, wolno go oszachrowywać, wolno

go gnębić, wolno przyprowadzać do nędzy, w tem grzechu nie ma — a choć stary Judel zaprzecza, że podobne prawo jest gdzie napisane, lecz za to wyryte w sercu jego współwyznawców, w sercu przepełnionem goryczą, żalem, nienawiścią i gorączkową żądzą zysku i bogactw. Goj, to szczupak którego mądry Eli ściąga do swego stawu: goj, na to się urodził żeby chytry i przebiegły Izraelita mógł z niego korzystać.

Przez dziwne zapomnienie, pozwolono aby handel cały przeszedł w ręce żydowskie, zkąd wyszły najgorsze skutki. Złe jakie ztąd wynika, p. E. Orzeszkowa daje poznać w walce dwóch ludzi, rozdzielonych interesem, dwóch przedstawicieli, jednego tej części społeczeństwa naszego, która na starych, fundamentach, nowy gmach pracy, wytrwałości i odwagi, budować zaczyna drugi zaś, to typ spekulanta pokolenia żydowskiego, który pokazuje, że żydzi w swej niechęci mylą się i dla zysku tracą wielką, prawdziwą korzyść. Cywilizacya XIX wieku, oparta na tolerancyi, otworzyła skarbnicę wiedzy dla wszystkich, lecz razem wprowadziła zepsucie. „Wielka edukacya“ mówi stary Judel, „stała się jak ta szeroka rzeka, do której wolno każdemu przyjść i napić się z niej.... Ale w tej rzece jest taka woda, która po wierzchu pływa i taka która aż na dnie znajduje się.“

Idzie więc o to, by się dostać do tej wody co na dnie jest, by żydzi pojmując prawdziwe wielkie idee ludzkości przez toż samo pojęli, że goj jest człowiekiem a nie szczupakiem, lub rolą z której korzyść się ciągnie. Pół cywilizacya zaś jest gorszą, bodaj od starej, zakamieniałej, lecz z jakiemiś uczciwszemi popędami ciemnoty.

Takim więc element żydowski w powieściach Orzeszkowej przedstawia się. Chciwy gorączkowo, cywilizujący się powierzchownie, chwytający z cywilizacyi to, co właśnie cywilizacyą nie jest, dla chrześcijan bez litości, trzymający się razem, rozumiejący potrzebę solidarności, kochający się wzajem, z bardzo rozwiniętem uczuciem rodzinnem, z jednostkami pojmującemi głębiej ideę cywilizacyi i ludzkości.

W tem więc rwącem się społeczeństwie, pociąganem wszech potężnym prądem ducha czasu i koniecznością na drogę pracy, elementa różne ścierają się i walczą z sobą okoliczności zewnętrzne, idee ogólne ludzkości i miejscowe wyobrażenia, walka o byt materyalna i moralna, wszystko to razem miesza się, wre, kipi ciskając czasem czystą kroplą, czasem brudnym mętem. Stanowisko kobiety samo przez się zmienić się musi. *(d. n.)*

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszedł tom 5 i 6 **dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej**, z których w tomie piątym znajdują się opisy niektórych okolic Królestwa Polskiego i wspomnienia z podróży w obce kraje; w tomie zaś szóstym życiorysy porządkiem chronologicznym ułożone.

Z Dzieł historycznych Karola Szajnochy w dziesięciu tomach mających wychodzić co dwa miesiące, wyszło obecnie dwa tomy obejmujące Szkice historyczne. Prenumerata na wszystkie tomy wynosi rs. 20 do której na przesyłkę pocztową dopłaca się rubla jednego: można ją składać częściowo po rubli cztery za dwa tomy. Dla prenumeratorów Tygodnika illustrowanego cena prenumeracyjna o połowę zmniejszoną została i wynosi rs. 10.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w następnym trzecim kwartale b. r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779** (**41** nowy).

Opis ryciny kolorowej.

N. 1. Ubranie letnie. Suknia z różowej materyi, lub bawełnianego atłasu, z gładkim wyciętym stanikiem. Zwierzchnia suknia z cienkiego, białego muślinu, przybrana falbaną węższą z przodu, szerszą około trenu. Fartuch odrobiony z buf i wstawek idących skośno. Rękawy składające się z buf połączonych wstawkami, podłożonemi różową materyą, i zakończone falbaną. Kieszeń z różowej materyi zawieszona na wstążce, i ozdobiona kokardami. Biały bastowy kapelusz, przybrany różowym siatkowym szalikiem, lub chusteczką i piórem, podgarnirowany białą krepą.

N. 2. Ubranie spacerowe. Suknia z bronzowej materyi Faille, przybrana bufą z materyału użytego na vêtement. Vêtement z lekkiej, wełnianej materyi piaskowego koloru, formą Princesse. Skośnie idące pasy i chusteczka z bronzowej materyi Faille, są obszyte jedwabną frendzlą tegoż samego koloru. Bronzowy, słomkowy kapelusik, przybrany koronką crême i niebieskiemi kwiatami; bukiecik takichże samych kwiatów, przypięty z przodu przy chusteczce.

Przyjaciela Dzieci Nr 26 wyszedł z druku i zawiera:

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową **rs. 1.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 8 (20) Iюня 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Suknia perkalowa z koronką szydełkową. Zobaczyć ryc. 16—17 i tunikę na ryc. 27 w przeszłym Numerze Tygodnika.

Opis do N. 26.

(Dokończenie).

Następnie przerabia się kilka o. pow. dla zwrócenia nitki i założywszy następny owal prowadzi dalej robotę od ┼, póki znów przy obrabianiu ząbków brzeżnych nie dojdzie się do środka przedostatniego zęba, odkąd zaczyna się robota pajączka, danego w zagłębieniu między owalami. Składa on się ze słupków trzy razy nawijanych których ostatnie pentelki zatrzymane na szydełku zrabiają się następnie jednem o., jak to widać na ryc. 16, podług której można z łatwością odrobić górne zakończenie koronki.

Wszywka podana na ryc. 17 w zmniejszeniu, odrabia się w ten że sposób co powyżej opisana koronka, z małemi odmianami z powodu krzyżowania się owali, co ryc. 17 dostatecznie wskazuje.

N. 18. Sukieneczka dla dziecka. Odpowiedni krój znajduje się na arkuszu z krojami do Nr 22 i 23.

Uszyta jest z białej piki; można przykroić ją podług



N. 3. Ubranie z vêtement formą princesse. Zobaczyć plisy na ryc. 9 w N. 25.

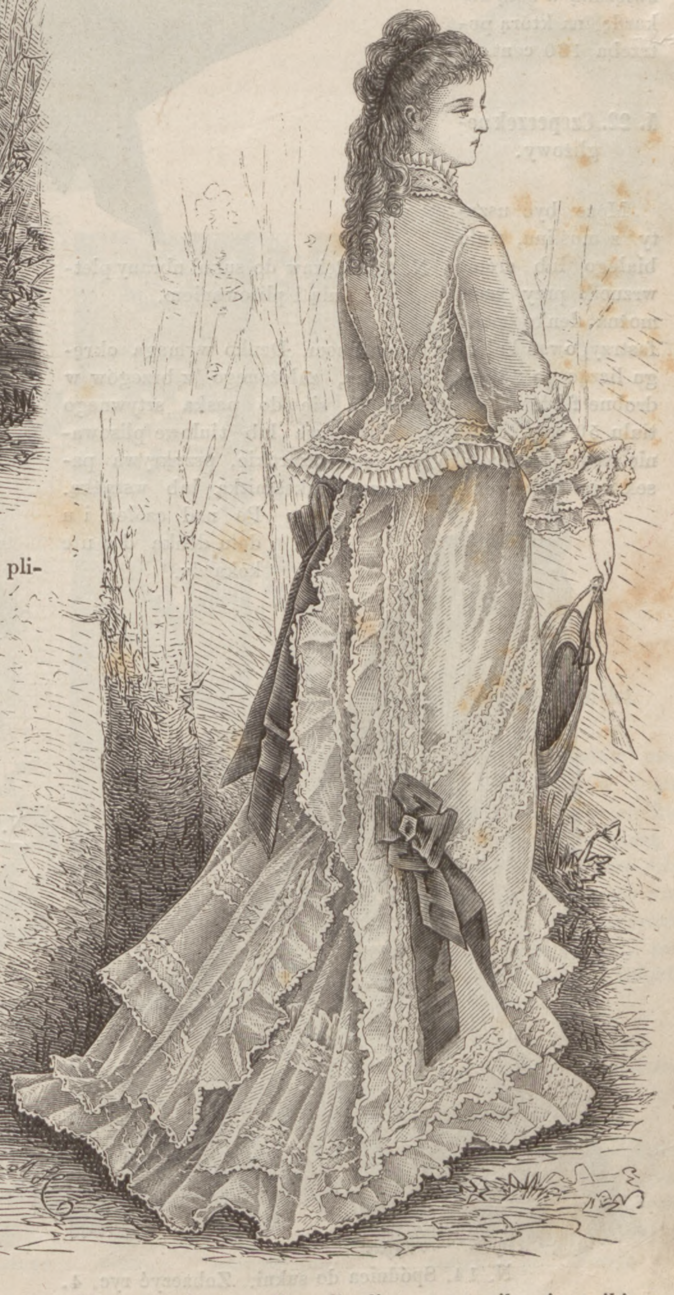
kroju fartuszka z arkusza do N-r 22 i 23. Krając przody i plecy jednakowo, przypuszcza się z każdej strony po 12 cent. na 8 fałdek, po $1\frac{1}{2}$ cent. szerokich, zwróconych do siebie i zastębnowanych w całej długości lub tylko w pasie dwa razy przeszytych a dalej zaprasowanych. Brzegi zakładek zdobią przystębnowane wązki e haftowane ząbki; kwadratowy wykrój szyi zdobi pasek $1\frac{1}{2}$ cent. szeroki zdobny ząbkami pod który wsuwają się ramiączka 3 cent. szerokie, do których wszyte króciutkie rękawki. Kieszonki ścięte w ząb, oszyte pliską i ząbkami liczą po 12 cent. długości, a szerokości 14 cent. u dołu a 12 w górze; klapki zwierzchnie liczą w środku po $6\frac{1}{2}$ cent. długości.



N. 2. Suknia i vêtement z muślinu albo linon.



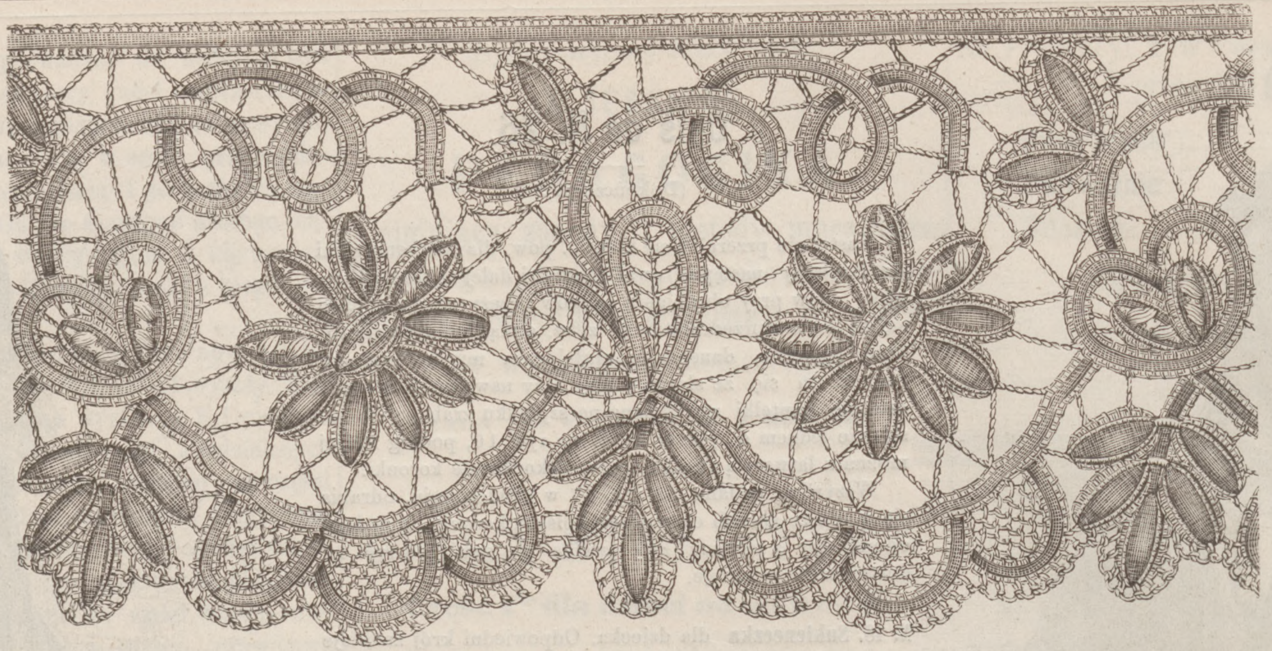
N. 4. Suknia perkalowa z plisowanym garnirunkiem. Zobaczyć spódnicę na ryc. 14.



N. 5. Suknia z muślinu albo linon, z tuniką i stanikiem z baskiną.



N. 6. Monogram. Haft atłaskowy.



N. 8. Koronka irlandzka, z rozmaitych tasiemeczek.



N. 7. Monogram. Haft atłaskowy.

N. 19. **Sukieneczka** naszyta tasiemeczką.

Za materyał służy pika, płótno écru lub t. p., przybranie dane z tasiemeczki lub torsadki triming 1 cent. szerokiej. Wykrój szyi oszyty koroneczką.

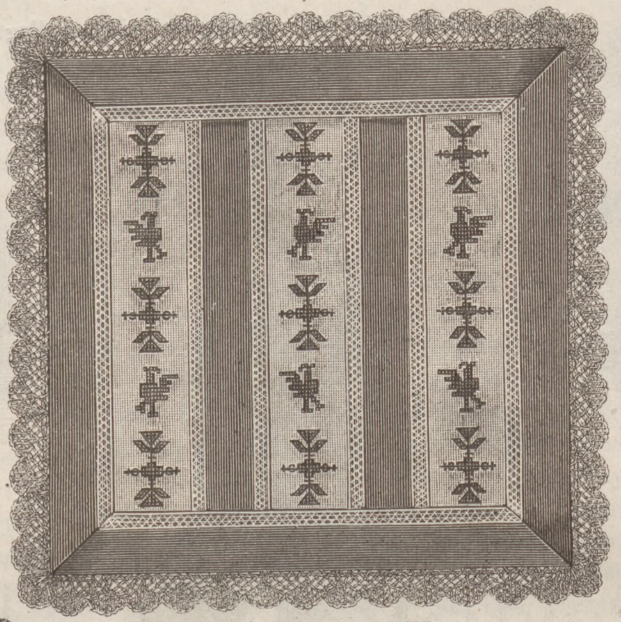
N. 20. **Deseń** wyszycia do płaszczyka ryc. 2 w N-rze 24.

N. 21. **Kołnierzyk** z koronki i wstążki.

Strojny ten model odrobiony jest z repsowej wstążki koloru crême 5 cent. szerokiej i z koronki 8 cent. szerokiej. Środek stojącej krezy zajmuje riusza z wstążki ułożonej w kontrafałdy a w końcach idącej gładko na 17 cent. wzdłuż, rogi przednie są załamane i niewidocznie potem przyczepione żeby się nie odwijały. Piękna koronka zaplisowana rzadko w fałdy otacza z wierzchu i od szyi riuszę i wywija się na rogach. Kołnierzyk wszyty jest w pasek 2 cent. szeroki, przykryty wstążką związaną w sutą kokardę, na którą potrzeba 180 cent.

N. 22. **Czepeczek** negliżowy.

Może być uszyty z muśliuu, tiulu białego lub crême wrzucik przy czem można denko podfastrzygować kolorowym muślinem. Denko wymaga okręgu liczącego 28 cent. średnicy, założonego z brzegów w drobne fałeczki i przyczepia się do paska sztywnego tiulu 50 cent. długiego. Muślinowe lub tiulowe plisowanie oszyte koroneczką, 12 cent. szerokie, przykrywa pasek i jest środkiem przewiązane aksamitką lub wstążką. Po nad czołem i u dołu denka dane kokardy.



N. 9. Serwetka w pasy. Wyszycie na płótnie i koronka.



N. 10. Rękaw do sukni ubrany pletnią i plisowaniem.



N. 12. Penioar. Zob. koronkę r. 13 i w N. 25 r. 20—21.

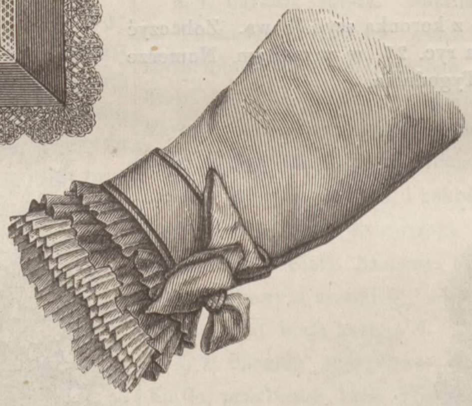
N. 23. **Szlak** do portjer, mebli i t. p. Robotą krzyżową. Odrobiony jest włóczką angielską; kolory i cienie objaśnione są na ryc. 23, można jednak zmieniać je odpowiednio do koloru mebli.

N. 24—27. **Kapelusze** letnie.

N. 24. **Opisany** przy ryc. 23 w N-rze 24.

N. 25. **Kapelusz** z szeroko wywiniętem rondem.

Rondo czarnego bastowego kapelusza 7 cent. szerokie, podszyte czarnym aksamitem; dość wysoką okrągłą główkę opasuje skos repsu crême 24 cent. szeroki, związany z tyłu w węzeł i spuszczony w niezbyt długi, u dołu wysiepany koniec. Przez węzeł przepięta gałązka pięknie cieniowanych i złotawo mieniących się kwiatków laku, ślicznie odbijających na repsie; z boku rondo podpięte takąż gałązką.



N. 11. Rękaw do sukni ubrany plisą i plisowaniem.

N. 26. **Kapelusz** okrągły z florenckiej słomki.

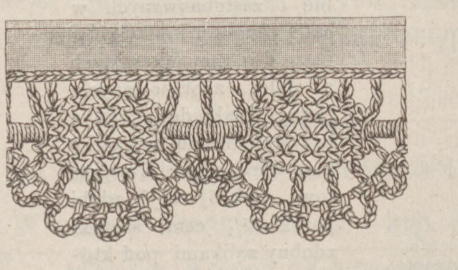
Odpowiedni dla młodych osób przybrany jest szalikiem z tiulu crême zdobnym wywodzeniem filozelą i aplikacją wyciętą z koronki. Rondko podszyte czarnym aksamitem; bukiecik polnych kwiatów dopełnia przybrania.

N. 27. **Kapelusz** ogrodowy.

Wielką pasterkę z białej słomki z płaską, okrągłą główką zdobi suta girlanda z powojów i liści. Z boku przytwierdzona suta kokarda z wstążki repsowej crême, 6 cen. szerokiej z końcami 60 i 40 cent. długiemi.



N. 14. Spódnica do sukni. Zobaczyć ryc. 4.



N. 13. Koronka z tasiemki medaljonowej i roboty szydełkowej.

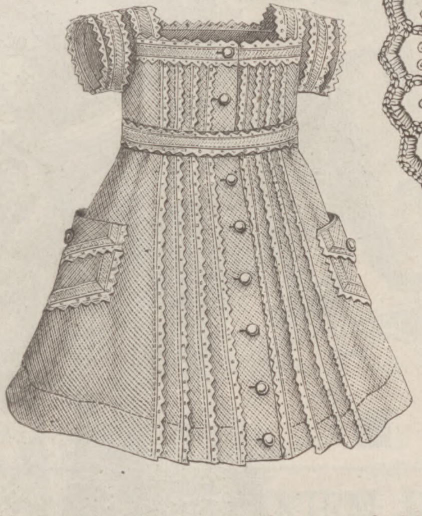


N. 15. Spódnica z trenem.

Przepisy kuchenne.

Sok i marmelada z poziomek.

Bierze się na funt poziomek funt cukru. Syrop zagotować i wrzucić poziomki, kilkanaście razy zagotować, (byle nie zbyt długo



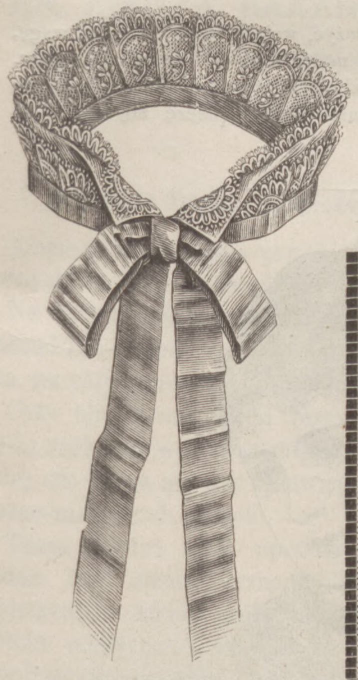
N. 18. Sukienka dziecinna z przestębnowanemi fałdami. Krój podług ryc. 7 w N. 23.

gdyż wtedy sok nabiera cierpkiego smaku) potem wylać na sito i niech przez noc ścieka; następnego dnia sok przegotować jeszcze do czysta, wyszumować i w butelki pozlewać.

Do pozostałych na sicie poziomek zrobić syrop (ile było funtów poziomek świeżych, połowę cukru bierze się) złożyć poziomki, gotować póki dobrze nie zgęsną i gorące składać w słoiki.

W taki sam sposób można robić sok i marmuladę z malin, i wisien.

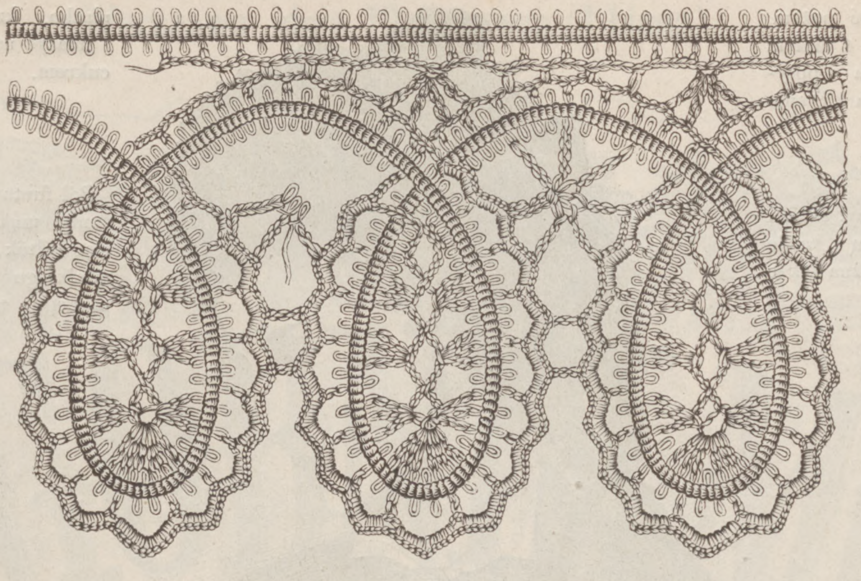
Obwarzanki z białek.



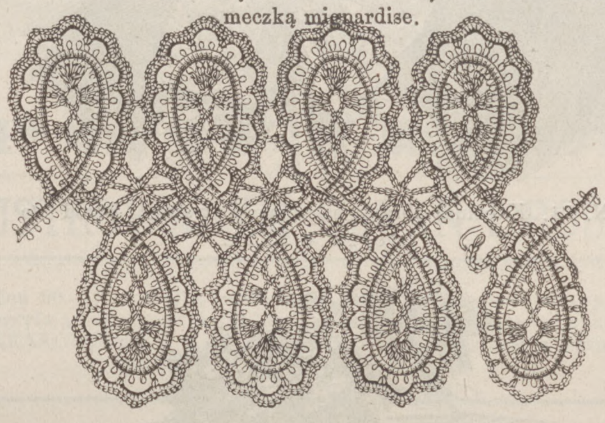
N. 21. Kołnierzyk z krawatką.

Półtory kwaterki białek ubić na pianę, kwartę mąki, pół filiżanki drożdży (lub 4 łuty) zazem z tą pianą wymięszać; jak się w cieple ruszy dodawać mąki aż ciasto dość twarde będzie, potem wyłożyć na stolnicę i wyrobić dobrze z masłem młodem ale solonem, zachowując ostrożność aby w chłodnem miejscu robić. Masła powinno być 2 funty mąki 3 funty; gdyż już jest o tyle wyrobione i wychłodzone że się rąk nie czepia, robić cienkie obwarzanki, każdy umaczać w cukrze grubo utłuczonym, po jednej stronie, i układać na blachy wyłożone papierem ale niesmarowane masłem. Jak już wszystkie zrobione będą, odpiekać szybko w piecu dobrze gorącym żeby były nie zbyt rumiane. Trzeba często zaglądać żeby się nie spaliły, dłużej nad kwadrans nie powinny być w piecu. Kto lubi może dodać do ciasta kilka migdałów gorzkich.

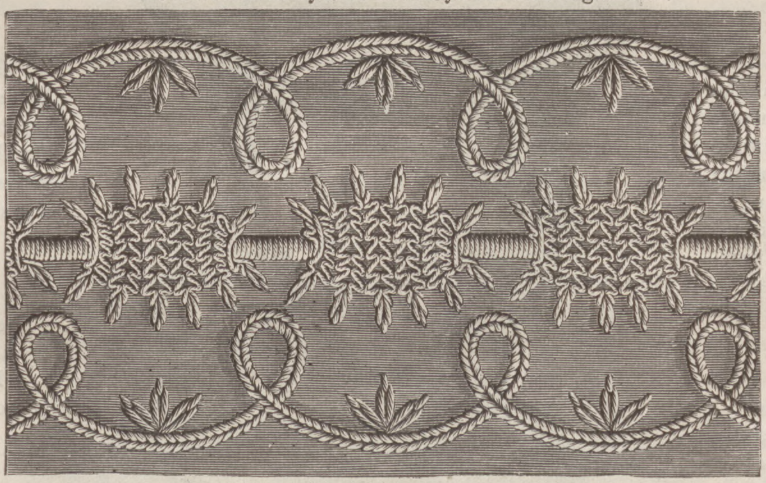
Obwarzanki te są bardzo kruche i smaczne.



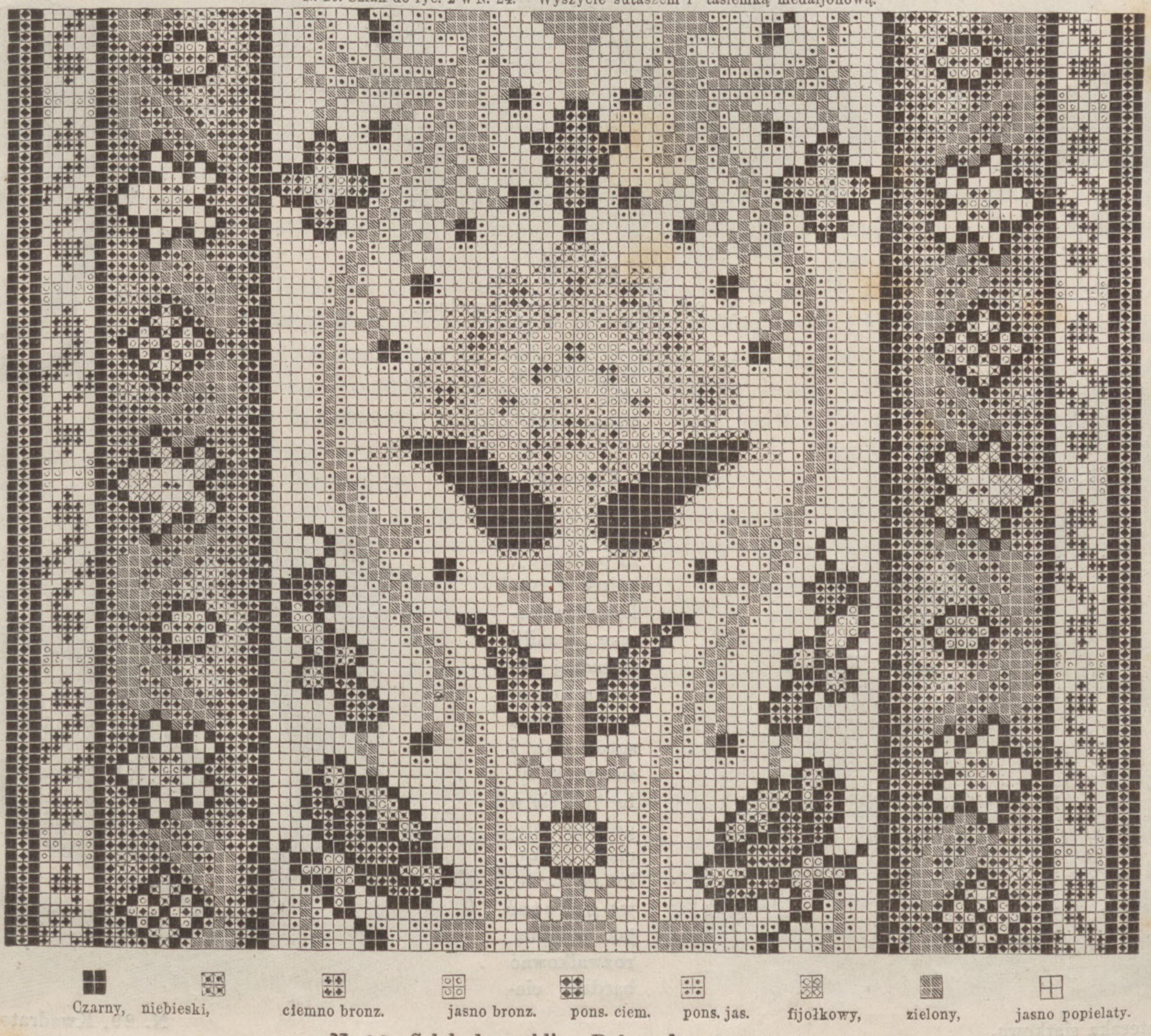
N. 16. Koronka do ryc. 1. Robota szydełkowa z tasiemeczką mignardise.



N. 17. Koronka do ryc. 1. Rob. szydełkowa z mignardise.



N. 20. Szlak do ryc. 2 w N. 24. Wyszycie sutaszem i tasiemką medaljonową.



N. 23. Szlak do mebli. Robota krzyżowa.



N. 19. Sukienka dziecinna, naszyta torsadką.

Kruche obrączki.

Pół funta świeżego masła utrzeć na pianę z dodaniem pięciu żółtek gotowanych na twardo i przez sito przetartych i trzech całych surowych jaj, poczem dosypać pół funta cukru z zapachem cytryny, a naostatek 3 ćwierci funta mąki.

Rozwałkowawszy ciasto, grubo na pół palca, wyciskać foremkę większą i mniejsze obrączki, układać je na pobielanej blasze; powlec lukrem świeżym albo migdałami drobno siekanemi obsypać i piec w miernie ogrzanem piecu.



N. 22. Czepeczek n[illegible] żowy.

Makaroniki.

Funt migdałów utartych na tarce w łupinkach i funt cukru miałkiego mięsza się z pianą z ośmiu białek dobrze ubitych. Blachę wytrzeć woskiem i małą łyżeczką układać makaroniki, piec powinien być po chlebie.

Pianka jajeczna z jabłkową marmuladą.

Jabłka kwaskowe upiec lub ugotować na gęstą marmuladę, do pół funta takowej ubić piany z 1ʒ żółtek z pół funtem cukru, przydać do tego pia-

ny z 8 białek, wyłożywszy na półmisek ogładzić nożem, a potem najeżyć kupkami piany z pozostałych 4 białek; którą można zafarbować sokiem jakim się podoba i posypać cukrem tartym na tarce, wstawić w piec na kilkanaście minut gdy piana uschnie wydać.

Jabłka w meryngach z pieca.

Jabłka kruche winkowate, obrać całe z łupiny, środki wydrążyć, ułożyć jedno koło drugiego w rądelku a każde pocukrzyć, polać trochę klarowanego masła, można także



N. 25. Kapelusz z szerokiem rondem.

do masła przydać parę łyżek wody, wstawić do pieca albo też dusić na ogniu tak, aby były miękkie, a nie pogniotły się. Tymczasem ubić 10 białek na pianę, wsypać ćwierć funta miałkiego cukru wymieszać, jabłka nadziać konfiturami, ułożyć na półmisku w kupkę, obłożyć pianą, ugładzić nożem pokarbować jak się podoba, posypać cukrem, wstawić na pół godziny w wolny piec, a gdy trochę przyżółknie ubrać konfiturami i wydać.

Kwiaty smażone.

Zrobić ciasto z 4 żółtek 4 łyżek śmietanki, tyleż łyżek mąki i 2 łyżek cukru, maczać w tem świeżo zerwane gałązki akacyi, rezedy, pączki fijołków, spuszczać na rozpalone masło lub smalec, gdy już usmażone podać z cukrem albo z sokiem.



N. 24. Kapelusz ubrany jagodami i trawą. Przód do ryc. 23. w N. 25.



N. 27. Duży słomkowy kapelusz.



N. 28. Trójkątna chusteczka siatkowa.

Chrust.

Kwarta mąki pięknej, żółtek 7, łyżkę cukru, trochę wanilji tłuczonej lub cynamonu, łyżkę masła surowego i śmietanki tyle co się w gniecie aby ciasto nie było twarde, wygniatać jak najlepiej, rozwałkować bardzo cieniutko, krajać jak zwykle na podługowate paseczki, i smażyć na gorącym smalcu. Wyjmując posypywać grubo cukrem.

Chruścik anyżowy.

Pół funta masła młodego utrzeć w donicy, na pianę, trzy funty mąki, wcierać po trochu, zostawiwszy trochę, dziesięć żółtek od jaj, półkwarty śmietanki, cukru dwa kubki miałkiego przesianego, łut anyżku oczyszczonego i utłuczonego, trochę araku. To wszystko potem brać częściowo na stolnicę podsypywać mąką żeby ciasto nie przylegało, które powinno być bardzo wolne, bo wtenczas są nader kruche i delikatne. Więcej nawet należy ciasto rozciągać, a wałkiem wygładzać, krajać do upodobania kołkiem i na gotowany smalec puszczać, którego powinno być sporo, aby się równo smażyło.



N. 26. Kapelusz z słomki florenckiej.

Babka lub tort.

Szesnaście jaj odważyć, wziąść tyleż cukru na wagę, połowę tej proporcyi mąki. Najpierw uciera się cukier, mąka z żółtkiem aż zbieleją, wtenczas dodaje się piana wlewa do formy wysmarowanej, piecze się w miernie gorącym piecu.



N. 29. Kwadratowa siatkowa chusteczka.